NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

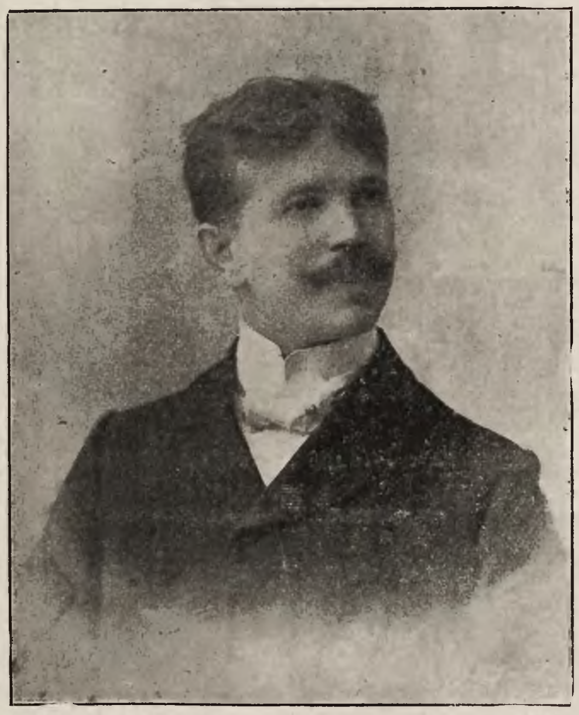
Rok II. Kraków, 14 stycznia 1905 r. Nr. 3.

Na Wiśnicz!!..



(Do artykułu na str. 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Krakowscy przemysłowcy za granicą:
Franciszek Macharski, właściciel handlu p. f. A. Hawełka w Krakowie.

NA WIŚNICZ!..

(Do illustracyi tytułowej).

Szary chmurny poranek... Śnieg skrzypi pod nogami, mróz wciska się pod dobrze watowane paltoty, pod futra, a jednak na twarzach wszystkich przechodniów maluje się radość i zadowolenie. Z uśmiechem na ustach przewijają się ulicami przechodnie. Znajomi ściskają się serdecznie za ręce, życząc nawzajem sobie „dosiego roku“, bo to święto Sylwestra — ostatni dzień tysiąc dziewięćset czwartego. Jutro będzie już królował Rok Nowy: tysiąc dziewięćset piąty!..

Bogaci i ubodzy z równem upragnieniem czekają tej zmiany tronu w historyi ludzkości. Bogaci i ubodzy snują sobie dobre wróżby na przyszłość — ale, czy wszystkim los pozwolił używać w pełni całej tej radości?..

Nie! Są przecie tacy, którzy w tym roku rozpoczynają karę za dawne grzechy – za zbrodnie!..

Otwiera się brama więzień tutejszego sądu karnego i na ulicę wychodzi ponura gromadka.

Wśród czterech bagnetów żandarmskich, wśród czteru błyszczących kasków, wolnym ociężałym krokiem posuwa się sześć postaci w szarych więziennych ubraniach. Dłonie ich skute w łańcuchy, oczy ze wstydem spuszczone ku ziemi — i jeden tylko z dumą zbrodniarza, chełpiącego się swymi czynami spogląda na przechodniów...

— Dokąd ich wiodą?..



Krakowscy przemysłowcy za granicą:
Antoni Tuch, współwłaściciel fabryki witraży p. f. „Tuch i Ekielski“ w Krakowie.

— Na dworzec kolejowy skąd pod eskortą dostaną się do Bochni, po to tylko, aby później piechotą zajść na miejsce kary do więzień wiśnickich!..

Pierwsi czterej okryli się smutną sławą. Ten, co tak dumnie spogląda naokół, to Jan Sobol, morderca rodziny Kleszczów — skazany na śmierć przez powieszenie, a którą mu następnie łaska cesarska zamieniła na dożywotnie więzienie. Tuż obok przykuty doń łańcuchem, stąpa towarzysz jego zbrodni Jan Gregorski. Dwadzieścia lat więzienia czeka go, a jednak wyrok ten pewnie nie zostanie spełniony. Suchy, straszny kaszel wstrząsa jego wąską piersią; gruźlica płuc w najwyższym stopniu rozwoju pewnie w więziennych murach zniszczy do reszty wątły ten organizm.

W grubych więziennych szatach postępuje druga para: dwaj ludzie ongiś cieszący się w naszym mieście powszechnym szacunkiem a dziś obarczeni piętnem defraudantów na czole. To Maksymilian Müller i Stanisław Barko, którzy jak Sobol i Gregorski wiedzeni żądzą użycia i złota, choć wprawdzie niezbroczyli rąk swych w krwi niewinnych ofiar, to jednak złupili krwawo zapracowany grosz biedaków w Towarzystwie rękodzielników i przemysłowców. Pierwszy z nich ma przebyć na Wiśniczu pięć lat, a drugi trzy...

W trzeciej parze postępuje wieśniak Rzepa, zasądzony za podpalenie z zemsty rodzinnej wioski, wraz z młodym siedmnastoletnim, chłopcem niejakim Filipowskim, który został skazany za zbrodnię rabunku na trzy lata ciężkiego więzienia...

Wolno kroczy cała gromadka. A jakie myśli snują się w głowach skazańców, których chciwość i zemsta popchnęły do zbrodni?

Ach pewnie w duszach ich nurtuje żal głęboki, pewnie pół życia by dali, żeby raz jeszcze mogli się urodzić i życie swoje na inne pchnąć tory!

Niestety żal to spóźniony i dola ich zmienić się już nieda.

Rycina nasza przedstawia smutny pochód skazańców u bram więzienia tutejszego sądu karnego, według szkicu naocznego świadka.

Krakowscy przemysłowcy za granicą.

Przemysł i handel są dźwignią i podstawą dobrobytu krajowego. Najlepszą miarodajną wskazówką rozwoju przemysłowo-handlowego są wystawy, urządzane peryodycznie w kraju i po za jego granicami. Wystawy takie są niejako terenem ogólnego współzawodniczenia wybitnych sił kupieckich i handlowych. Ci, którzy wyróżniają się korzystnie — odszczególniani bywają medalami, dyplomami honorowemi i zaszczytnemi wzmiankami. Jestto niejako dyplom szlachectwa przemysłu.

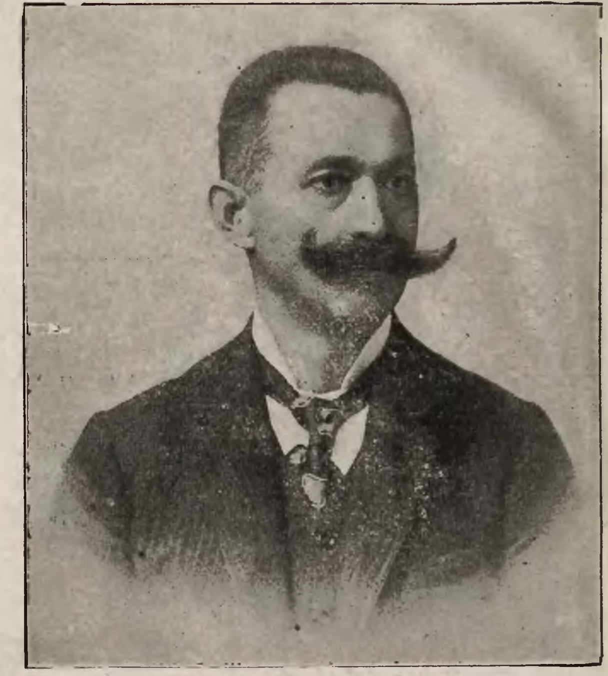
Jest jednak wielu takich z pośród naszych przemysłowców, którzy nietylko na krajowych wystawach otrzymywali chlubne odznaczenia, ale nawet zagranicą i za morzami.

Wszechświatowe wystawy, odbyte w zeszłym roku w Saint-Louis i w Atenach, przyniosły w plonie pomiędzy wielu odznaczeniami firm zagranicznych, również zaszczytne odszczególnienia polskich przemysłowców.

Do takich należy w pierwszym rzędzie spółka Tuch i Ekielski, która wykonała prześliczne witraże i otrzymała za to medal złoty. Pierwszy z nich Tuch, znany artysta malarz-dekorator – drugi profesor szkoły przemysłowej w Krakowie. Odznaczenie w postaci złotego medalu, spotkało spółkę Tuch-Ekielski na wszechświatowej wystawie w Saint-Louis.

Jest to jedyna firma w całej Austryi, która w poczuciu swej siły—odważyła się stanąć do wszechświatowego konkursu. Ant. Tuch odznaczył się już niejednokrotnie artystycznemi pracami. I tak: malował freski na wewnętrznych ścianach gmachu „Sokoła“ krakowskiego; podobnież i kościół N. P. Maryi według planów Matejki. Pozatem zawdzięczamy mu prześliczne malowidła, zdobiące kilka kaplic na Wawelu. Kaplicę św. Zofii ozdabiał pędzlem wspólnie z Włodzimierzem Tetmajerem, malowidła w skarbcu królewskim wykonał z udziałem Mehoffera. Na własną rękę malował zaś kaplicę Grota i kilka innych. Obecnie wykonywa spółka Tuch-Ekielski mozaiki szklanne, które zostały już oddane na wystawę Sztuk pięknych w Krakowie.

Druga firma, która z tą samą odznaką wyszła z wszechświatowego konkursu w Ameryce — to stary i znany dom handlowy A. Hawełki w Krakowie. Właściciel firmy, p. Franciszek Macharski, otrzymał w Saint-Louis złoty medal za znakomite przetwory owocowych wódek i niezrównane w swej dobroci miody polskie — własnego sycenia.



Krakowscy przemysłowcy za granicą:
Władysław Pagacz, właściciel fabryki tutek p. f. Rudolf Herliczka w Krakowie.

Pan Macharski ofiarował cały swój materyał wystawowy — prezydentowi Rooseveltowi, za co tenże odręcznem pismem wyraził mu swoje podziękowanie. Autograf Roosewelta na wieczną rzeczy pamiątkę pozostał w przechowaniu rodziny pp. Macharskich.

Trzecią firmą, która znowu na wystawie w Atenach otrzymała podwójne, najwyższe odznaczenie w postaci dyplomu honorowego i złotego medalu — to p. Wł. Pagacz, właściciel obecny fabryki gilz papierowych pod firmą „Rudolf Herliczka“.

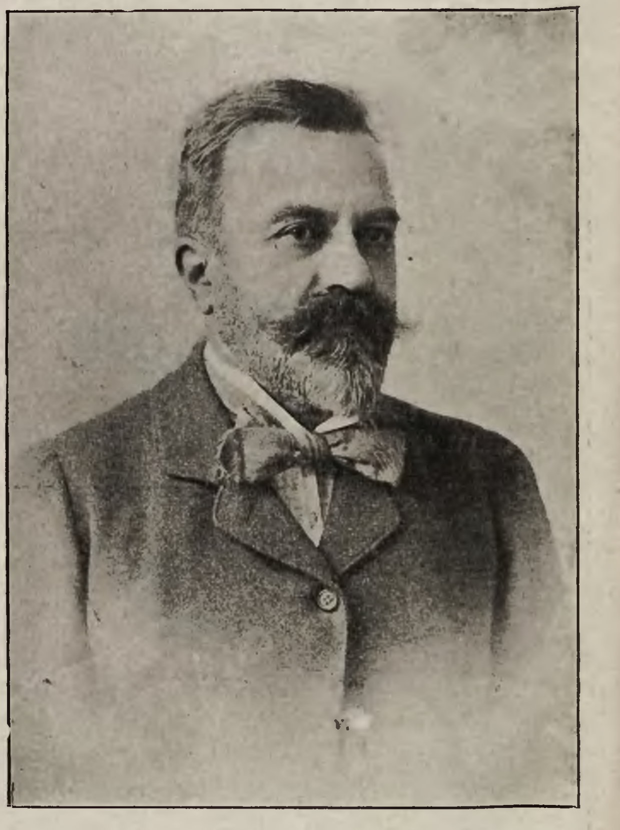
Zaszczytnie odznaczonych rodaków naszych portrety — podajemy w obecnym numerze.

Nagły zgon posła.

Jeden z wybitnych naszych parlamentarzystów, radca wyższego sądu krajowego, poseł do Rady państwa i kuzyn pierwszego wiceprezesa Koła polskiego Dawida Abrahamowicza, Eugeniusz Abrahamowicz, zmarł nagle w Stryju na udar sercowy dnia 5 stycznia.

W zmarłym tak cicho a tragicznie pośle, Koło polskie traci jednego z najzdolniejszych swych członków i jednego z najznakomitszych mowców, oraz człowieka, który dzięki swym osobistym zaletom towarzyskim cieszył się tak ogromną sympatyą w całej Izbie, że pozyskał sobie przyjaciół wśród wszystkich stronnictw, a nawet wśród tych posłów, co znani byli jako nieprzejednani przeciwnicy Koła.

To też ś. p. Abrahamowicz lubiany i ceniony przez Izbę, gotów zawsze do dyskusyi z kolegami, którzy różnili się z nim w pojęciach i zapatrywaniach, cieszył się wielkiem wzięciem i poszanowa-



Nagły zgon posła: Zmarły na udar serca radca sądu kraj. w Stryju i poseł do Rady państwa Eugeniusz Abrahamowicz.



Teatr ludowy we Lwowie: Obecny dyrektor teatru ludowego, Czajkowski.

niem wśród członków Koła, skutkiem tego padał nań zawsze wybór do najważniejszych komisyj parlamentarnych. Był więc stałym członkiem komisyi budżetowej, w r. 1902 członkiem wspólnych delegacyj, a oprócz tego piastował godność przewodniczącego komisyi dla nietykalności poselskiej i przewodniczącego komisyi sądowej w Kole polskiem. Jako polityk należał do tak zwanego stronnictwa autonomistów czyli Podolaków i nieraz staczał z demokratycznymi posłami ostre utarczki, co jednak nie przeszkadzało mu o posłach tych poza parlamentem wyrażać się z uznaniem i sympatyą.

Urodzony w roku 1851 w Hliboce, ukończywszy studya prawnicze w roku 1872, poświęcił się służbie na niwie sądownictwa. Do parlamentu wszedł po raz pierwszy w roku 1891 i przez pierwszych cztery lat całą swą pracę obracał na przeprowadzenie reform w ustawodawstwie sądowem, nie zaniedbując przytem swych obowiązków poselskich w innym kierunku. Jako właściciel dóbr ziemskich, piastował mandat z większych posiadłości, a żal, jaki wzbudziła w Radzie państwa śmierć jego wśród wszystkich stronnictw, najlepiej dowodzi, że umiał sobie pozyskać serca swych kolegów, nawet tych, z którymi ścierać się musiał na politycznej arenie.

Teatr ludowy we Lwowie.

Sztuka i literatura — to wykwit kultury i duchowego rozwoju społeczeństwa. Ludy, stojące na pierwotnym szczeblu cywilizacyi — nie posiadają tego rodzaju zabytków. Sztuka ogranicza się u nich do rytuału i ceremonij religijnych (tańce, śpiewy) — literatura zaś (o ile literaturą nazwać to można) streszcza się w podaniach, ludowych klechdach, podawanych z pokolenia w pokolenie, drogą opowiadania.

Najwybitniejszym przejawem umysłowego życia w społeczeństwie jest instytucya teatru, owa świątynia duchowa strzegąca czystości języka, pielęgnująca w żywem słowie i plastyce ideały narodowe. Takim przynajmniej teatr powinien być, takim jest jego właściwy cel i założenie. Inna rzecz, że teatr — zwłaszcza pod niewłaściwem i nieumiejętnem kierownictwem — wypacza swój kierunek i służy hasłom nic wspólnego ze sztuką nie mających. Smutnych i zatrważających tych przykładów dostarczył nam teatr krakowski.

Sztuka, a z nią i teatr nie był jednak dotychczas wszystkim warstwom dostępnym. Drogie ceny miejsc, repertoar nie dla wszystkich odpowiedni — składały się głównie na to.

W dzisiejszej jednak dobie — demokratyzacyi sztuki — pomyślano o tem, by i niższym sferom społecznym dać możność korzystania z tak szlachetnej i pożytecznej rozrywki. I oto powstają u nas nowe typy teatrów: teatry ludowe. Teatr ludowy we Lwowie zbudowany skromnie, lecz gustownie — mieści się przy ul. Szajnochy.

Młoda ta instytucya ma już swoją historyę i co przytem nieodzowna, swoją — martyrologię.

Prowadził on pierwotnie koczowniczy swój żywot jako „Towarzystwo miłośników sceny“ i pod tą firmą przetrwał przez 3 lata, a zostawał stale pod kierunkiem radcy Józefa Chołodeckiego. Przed niedawnym czasem Towarzystwo „miłośników“ zmieniło swe statuty — przeobrażając się w „Teatr ludowy“.

W tymże samym czasie ustąpił dla nadwątlonego zdrowia dotychczasowy kierownik p. Chołodecki, na jego zaś miejsce powołano literata p. B. Eilenfelda (pisującego pod pseudonimem Bolesławicza).

Teatr ludowy zmieniał ustawicznie miejsce chwilowego pobytu, aż wreszcie 6 stycznia 1905 przeniósł się na stałe do własnego budynku przy ul. Szajnochy. Jak raporty kasowe wykazują — frekwencya publiczności była w zeszłym roku bardzo znaczna, gdyż sprzedano w tym okresie biletów wstępu za 62.000 kor.

Obecnie oddano kierownictwo artystyczne teatru ludowego jednemu ze zdolniejszych członków trupy p. Czajkowskiemu. Na pierwsze inauguracyjne przedstawienie wybrano melodramat p. t.: „Życie we śnie“, a artyści wywiązali się wcale nie źle ze swego zadania.

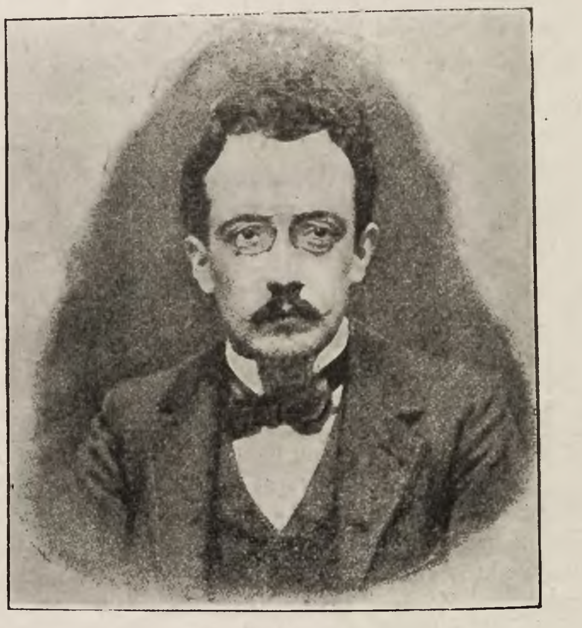
Ludowa scena we Lwowie była jednym z głównych postulatów duchowych — niższych sfer stolicy. Z radością też należy powitać ukonstytuowanie się jej — a młodemu towarzystwu i jego kierownictwu życzyć: „Szczęść Boże“!!!

Z tajemnic loży masońskiej.

Jest pewne tajemnicze stowarzyszenie, rodzaj międzynarodowego bractwa, rozpowszechnionego po wszystkich krajach i stronach kuli ziemskiej. Zabobonne i z zasadami Kościoła katolickiego sprzeczne praktyki, którymi masoni — bo o nich tu mówimy — się posługują, ściągały od najdawniejszych czasów na głowy odszczepieńców wyklęcia, i ekskomuniki Najwyższej Głowy Kościoła, że wspomniemy tylko wyroki potępienia rzucane na wolnomularstwo przez papieża Klemensa XII, w r. 1738, Benedykta XIV, 1751 r., Piusa VII, Leona XII, i Piusa IX.

Masonia, jak każde zło, unika światła dziennego, okrywa się tajemnicą i zabobonem; to też walka z niebezpieczną tą herezyą należała do jednej z najtrudniejszych, jakie kiedykolwiek Kościół katolicki zmuszony był staczać, a to tem bardziej, że w masonach miał wrogów przebiegłych, wytrawnych i mściwych.

Dzisiaj, gdy opłakane stosunki społeczne we Francyi otwarły na rozcież wrota wszelkiemu złemu, a z nią i herezyi, gdy katolicyzm jest jawnie i publicznie przez rząd republiki prześladowany — tem śmielej podniosła głowę hydra wolnomularstwa. I smutno pomyśleć! Jedno z najstarszych państw chrześcijańskich upadło tak nisko, że toleruje i protegując dziś jawnie — odszczepieństwo! Massonizm tak silnie zapuścił korzenie w społeczeństwie, że przewrotną ideą zarażone zostały najwyższe sfery rządzące, ba nawet cała armia.



Z tajemnic loży masońskiej: M. Bidegain, zamordowany przez zbirów loży masońskiej.

Terroryzm rozwinął się zwłaszcza w armii do tego stopnia, że oficerowie będący prawymi katolikami, t. zn. uczęszczający do kościoła, bywali przez swych kolegów i podwładnych denuncyowani w ministerstwie wojny. Wszyscy urzędnicy ministerstwa z szefem swym na czele są zagorzałymi masonami. Doniesienie takie wystarczało więc, by denuncyowany a posądzany o „katolicyzm“ stracił raz na zawsze wszystkie widoki awansu.

Sprężyn tej ohydnej, wprost zbrodniczej gospodarki, należało jedynie szukać w paryskiej masońskiej loży. Udało się je wykryć zmarłemu tajemniczą śmiercią Syvetonowi. W sposób zręczny i nie obudzający podejrzeń — zawiązał znajomość z niejakim M. Bidegaine'm. Bidegain był sekretarzem „loży“ w Paryżu i miał w swem ręku, pod swym kluczem i odpowiedzialnością wszystkie papiery i dokumenta stowarzyszenia.

Gorącej wymowie i niepośledniemu darowi przekonywania Syvetona, powiodło się wpłynąć na sekretarza loży do tego stopnia, że uznał krzywdy, jakie społeczeństwu wolnomularstwo wyrządza. Bidegain nie chciał dłużej tych krzywd być wspólnikiem i dnia pewnego wydał wszystkie papiery loży w ręce Syvetona... za pół miliona franków.

Syveton zginął zagadkową śmiercią. Wcale jednak w niedwuznaczny sposób skończył Bidegain.

Dosięgnęła go mściwa dłoń dawnych współbraci. Po wydaniu papierów szukał on swego ocalenia w ucieczce, i długo, długo tułając się po obczyźnie — potrafił uchodzić oka i sztyletu zbirów masońskich. Ostatnie depesze przyniosły jednak smutną wieść dla chrześcijańskiej Francyi: Bidegain został w Kairze przez wysłańców loży wytropiony i w podstępny a gwałtowny sposób życia pozbawiony.

W numerze niniejszym podajemy Czytelnikom portret zamordowanego przez wolnomularzy M. Bidegaine'a.



Fot. E. Brodkowski, Lwów.

Teatr ludowy we Lwowie: Widok zewnętrzny gmachu.



KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

15 (Ciąg dalszy).

Pomimo nadzwyczajnej oszczędności, szczupły zapas pieniędzy wyczerpał się niezmiernie szybko. Pewnego dnia ślepa wydała ostatnie grosze, jakie ukrywała w skórzanym woreczku. Przywołała więc Sabinkę i Zosię i przytuliwszy obie do łona, opowiedziała cichym głosem, w jak strasznem znajdują się położeniu.

Niema rady, moje najukochańsze — szeptała — musicie prosić o jałmużnę, inaczej bowiem zginiemy z głodu.

Oczy Sabinki zaszły chmurą, a bezgraniczny smutek zasępił wzrok Zosi. Oddawna wyczekiwały na to wyznanie babki, pojmowały bowiem dobrze, pomimo swego wieku, grozę okropnej sytuacyi, zapowiadającej rychłą katastrofę. Utrata ojca i matki, potem szereg upokorzeń i przykrości, niemal nieustannych, rozbudziły w ich dziecinnych umysłach przedwczesną dojrzałość.

Sabinka zmarszczyła brwi, lecz odpowiedziała niemal spokojnie:

— Jeśli trzeba koniecznie, będziemy żebrać, babciu.

— I biegać za przechodniami... i ręce wyciągać... — rzekła Zosia, schylając główkę na piersi. Ach, gdybyśmy były większe i gdybyśmy umiały pracować... niczegoby ci babuniu, nie brakło!

Z pod przymkniętych powiek dziewczęcia, potoczyły się gęste łzy po twarzyczce.

Babka widzieć ich nie mogła, lecz je odczuła w głębi serca. Bolesne łkanie rozdarło jej piersi. Wnuczki uklękły na podłodze, tuż przy nogach staruszki, a ona główki ich oparte na swych kolanach, głaskała chudemi rękami. Wszystkie trzy milczały, nic więcej bowiem nie miały sobie do powiedzenia. Nazajutrz, o świcie, obie dziewczynki wyszły razem z domu.

Okryte wyszarzanemi żałobnemi sukienkami, w starych, przerobionych z salopki Klary kaftankach, nie chroniących ich dostatecznie od mrozu, trzęsąc się z zimna, błąkały się dzień cały po Warszawie, której żadna dobrze nie znała. Wieczorem dopiero, zmęczone i głodne, powróciły do mieszkania, nie użebrawszy ani grosza.

— Żebrać więcej nie będę — rzekła Sabinka stanowczo — wolę umrzeć.

— Ja także umrzeć wolę — powiedziała Zosia. Wiesz co babciu, odbierzmy sobie życie razem... równocześnie...

— Nie!... Samobójstwa nie popełnię i wam go popełnić nie pozwolę! — zawołała ślepa. Samobójstwo, moje dzieci, to ciężki grzech, którego Bóg nigdy nie przebacza. Doświadczenia najsroższe, jakie na nas zsyła, znieść musimy z poddaniem się jego woli świętej.

— Ale ja nie chcę żebrać — odparła Sabinka.

— Więc ja sama jedna za ciebie żebrać pójdę, rzekła Zosia głosem, pełnym słodyczy. Dla ciebie siostrzyczko i dla babci uczyniłabym wszystko, czegobyście odemnie zażądały... zatem dla was wyciągać będę rękę o jałmużnę, chociaż się wstydzę... i nie umiem...

Wybiegła z domu — i nie zastanawiając się, w którą stronę kroki zwrócić należy, przeszła bezwiednie ulicę Freta, Stare miasto, Św. Jana i Plac zamkowy, nie ośmieliwszy się ani razu zaczepić którego z przechodniów błaganiem o pomoc i wsparcie. Tak idąc, znalazła się po niejakimś czasie na śniegiem pokrytym wirydarzu na Krakowskiem-Przedmieściu. Tam, znużona i z sił wyczerpana, usiadła na jednej z ławek.

Godziny upływają, a Zosia nie rusza się z miejsca. Siedzi, we łzach pogrążona, prawie nieprzytomna i co chwila drzemiąca.

Noc rozpostarła swoją ciemną oponę nad miastem. Na ulicach pusto. Nawet stójkowi kryją się przed mroźnym, przejmującym wiatrem, wiejącym od Wisły. Otuleni w kożuchy i płaszcze, wsuwają się w framugi i zagłębienia drzwi i bram kamienicznych.

Dziewczynka usnęła — ale budzi się niespodzianie. Chce powstać, lecz nogi odmawiają posłuszeństwa, upada więc znowu na ławkę. Nie wie, gdzie jest i co się z nią dzieje. Nagle ogarnia ją straszna trwoga. Drobnemi rączkami ściąga ciasny kaftanik na gorejące wewnętrznym ogniem piersi. Powtarza sobie po cichu: „Żebrać trzeba, żebrać muszę!“ Goni wzrokiem w prawo i w lewo, czy nie dojrzy jakiego przechodnia, lecz nie spostrzega nikogo. Wiatr tymczasem dmie coraz silniej i mrozi ciało dziecka do kości, które, walcząc z brakiem sił, zsuwa się nareszcie z ławki i klęka na śniegu, wyciągając w górę ramiona

— Boże, mój Boże! — modli się — miej litość nademną, nie daj skonać w oddaleniu od babci i Sabinki... Wyratuj, bo ginę!

Ledwie wyszeptała powyższe wyrazy, rozległo się skrzypienie spiesznie zbliżających się kroków.

Ksiądz, liczyć mogący około lat pięćdziesięciu, zbliża się do niej i pochyla nad klęczącą. Podnosi dziewczynkę ostrożnie i przygląda się jej badawczo, lecz z widocznem współczuciem.

— Umierasz dziecko z głodu? Wszak tak? — pyta miłym głosem.

Lecz Zosia nie śmie, czy nie umie odpowiedzieć.

Wtedy kapłan podaje jej rękę i chce prowadzić, lecz dziewczynka, co chwila omdlewająca, na nogach utrzymać się nie może. Ślizga się, chwieje i pada. Ksiądz schyla się, bierze ją na ręce, osłania połą swego długiego, futrem podbitego płaszcza i niesie ku Nowemu-Światu. Potem zbacza na lewo na Smolną i zatrzymuje się przed wspaniałym, rzęsiście oświeconym pałacem. Dzwoni, a gdy wygalonowany szwajcar bramę wjazdową otworzył, przesuwa się z ciężarem, który dźwiga w ramionach, przez obszerne podwórze, zapełnione karetami i wchodzi do olbrzymiego przedpokoju, przyozdobionego kląbami egzotycznych roślin, cennemi rzeźbami i starożytnemi makatami i gobelinami, zwieszającemi się od stropu ku posadzce. Służba wita go ukłonami, pełnymi szacunku, a on wstępuje na marmurowe schody, prowadzące na pierwsze piętro. Tu, otwiera drzwi do kaplicy pałacowej i składa dziecko — odzyskujące nieco przytomność, lecz ciągle jeszcze milczące — na puszystym kobiercu, pokrywającym stopnie ołtarza.

— Odpocznij tu sobie — szepnął słodkim tonem.

Poczem zbliża się do ściany z dzwonkiem elektrycznym i naciska guzik, tkwiący w obramieniu brązowem. Po chwili wchodzi służący.

— Macie widocznie gości na dole — rzecze — więc i wieczerza być musi. Przynieś tu czemprędzej gorącego bulionu, kawałek mięsa... jakie jest... i butelkę starego wina... A księżnej pani proszę powiedzieć, że na nią czekam...

W kilka minut potem, słychać turkot, wyjeżdżających z pałacu powozów i księżna ukazuje się w drzwiach kaplicy.

— Ty, mój drogi?... o tej porze? co to znaczy? — pyta zdziwiona.

Ksiądz Jan Maryan hrabia Wielogrodzki, starszy o lat parę, brat księżnej Sieńskiej, wdowy po księciu Sieńskim, byłym dyrektorze byłej Komisyi Skarbu, pochylił się nad dziewczynką i zapytania nie słyszy.

Na pierwszy rzut oka uderza nadzwyczajne podobieństwo brata z siostrą. Oboje mają takie same smutne i marzące oczy, też same rodzinne rysy twarzy i głos dźwięczny, pełen dziwnej słodyczy. Kto ich zna bliżej, wie, że podobieństwo moralne jest jeszcze większe. Łączą ich zgodne pojęcia i przekonania. Dobroć i szlachetność w jednakim stopniu maluje się na obliczu brata i siostry. Jedno przed drugiem nigdy z niczem się nie kryje. Zdają się żyć temi samemi uczuciami i myślami.

— Ty tutaj? — powtarza księżna. — Co cię o tak spóźnionej godzinie do mnie sprowadza?

— Zdaje mi się, że ci przyniosłem szczęście — rzekł kapłan, wskazując na dziecko, spoczywające na stopniach ołtarza.

Teraz dopiero Amelia spostrzegła dziewczynkę.

— Ach, mój Boże! — zawołała. — Skąd ją wziąłeś?

— Znalazłem umierającą z głodu i chłodu, na wirydarzu, naprzeciw domu Towarzystwa Dobroczynności...

— O, biedactwo!... biedactwo!

I to mówiąc, księżna siada przy Zosi.

Lampka, paląca się przed ołtarzem Matki Boskiej, rzuca na twarzyczkę dziewczątka światło różowe.

Jaka śliczna!... lecz straszliwie blada... Może to złudzenie wzroku... a może tylko ma tak dziwnie białą cerę, wydającą się jeszcze bielszą przy czarnej sukience. To mówiąc przyciska usta do zimnego czoła dziecka. Zmarznięta... i głodna, powiadasz? Ależ jeść jej dać trzeba... natychmiast!

Jakby na zawołanie wchodzi lokaj, niosący na tacy wieczerzę.

— Postaw tu, na stopniach... i odejdź — rzecze księżna.

Wlewa łyżeczkę po łyżeczce bulionu w usta dziewczynki, studząc go naprzód nieco dmuchaniem. Potem kraje drobne kawałki kurczęcia i karmi niemi małą, nie zdającą sobie sprawy, co się z nią dzieje, gdzie jest i kto ją otacza życzliwemi staraniami.

— Życie dziewczęcia — mówi ksiądz Wielogrodzki, patrząc na Zosię — musi być jakimś strasznym dramatem. Bogu Najwyższemu składam dzięki, że mnie postawił na jej drodze. Coby się stało z tym drobiazgiem, gdybym go nie spotkał!

Tymczasem Zosia jeść przestała. Delikatnie, ale stanowczo odsuwa rękę, podającą jej pokarmy. Dziwny jakiś ogień płonie w oczach dziecka. Duże źrenice błyszczą, jak dwa żarzące się węgliki. Twarzyczka, przed chwilą zsiniała i blada, oblewa się szkarłatnym rumieńcem. Równocześnie gwałtowny, a suchy kaszel wstrząsa jej piersiami. Milczy jednak... Nie uskarża się, jakby wciąż jeszcze nieprzytomna, jakby pozbawiona wszelkiej świadomości i pojęcia doznawanych wrażeń.

— To dziecko jest chore! — zawołał kapłan, który baczną uwagę zwracał ciągle na dziewczynkę. Trzeba je czemprędzej do łóżka położyć i ciepło okryć. Jutro, jak odzyska zmysły i mowę, dowiemy się przy kim i gdzie mieszka, a ja odprowadzę je rodzicom lub krewnym.

Przeniesiono Zosię do sąsiedniego pokoju i położono w wygodnem, ogrzanem łóżku. W nocy wywiązała się silna gorączka, połączona z groźnem zapaleniem płuc.

Miesiąc blisko biedne dziecko walczyło ze śmiercią. Księżna i jej brat otaczali je niemal rodzicielskiemi staraniami, czuwając na przemian przy łóżku chorej. Lecz tak on, jak ona — nawet, gdy odzyskiwała na chwilę przytomność — nie śmieli jej o nic pytać, lekarz bowiem zalecił bezwzględny spokój i unikanie wszelkich wzmianek o troskach i cierpieniach przez dziecko doznanych. Dziewczynka przychodziła do siebie... lecz powoli. Umysł jej nie rozjaśniał się od razu. Jakaś siła, pozbawiająca ją zupełnie pamięci, pogrążała skołataną niedolą duszyczkę w bezmyślne uśpienie. Osłabiona chorobą, oraz poprzedzającem ją niedostatecznem odżywianiem się, wyczerpana fizycznie i moralnie, Zosia zapomniała o babce i Sabince. Nie mówiła o nich nigdy.

— O! jakżebym pragnęła, by pozostała u mnie na zawsze — mówiła nieraz księżna do księdza Wielogrodzkiego. Nazwałabym się najszczęśliwszą,

gdybym mogła zatrzymać ją przy sobie. Wiem nareszcie, że jest ocaloną, że nic jej już nie grozi... i cieszę się tem niewymownie... bo w ciągu tylu dni i nocy przy niej spędzonych, nie możesz mieć pojęcia, jak się do niej przywiązałam, drżąc o życie biedactwa. Taka podobna do mojej Janinki... którą utraciłam...

Otarła oczy, zachodzące łzami.

— Tak, tak, masz słuszność — rzekł kapłan — to samo spojrzenie i tenże sam uśmiech... takież same blond włosy...

— Dziesięć lat upłynęło od śmierci mego dziecka, a żalu po nim ukoić nie zdołałam. Czyżby Bóg litościwy zesłał mi w niej drugą córkę? Wszakże powiedziałeś, gdyś ją tu przyniósł, że przynosisz mi może szczęście!

Oboje nagle zamilkli.

Po niejakimś czasie doktór pozwolił Zosi wstawać i przechadzać się po pałacu. Dziewczynka najczęściej i najchętniej przebywała w kaplicy, w której czuła się najswobodniejszą. Pewnego dnia zastała w niej panią domu. Usiadła na dywanie u stóp swojej dobrodziejki i powoli... powoli, bezwiednie, szczebiotać zaczęła o ślepej babce i o siostrzyczce, które ją bardzo kochają, kochane przez nią bardzo gorąco. Był to niespodziany cios dla księżnej, która zżyła się już poniekąd z myślą, że dziecko — jeśli ma krewnych — zapomniało o nich zupełnie. Tymczasem widocznie odzyskało pamięć. Chwilę zdawała się tem odkryciem przykro dotkniętą, wnet jednak zapanowała nad rozdrażnieniem i postanowiła spełnić to, co nakazywał obowiązek i sumienie. Delikatnie i ostrożnie zaczęła wypytywać Zosię o jej przeszłość i stosunki rodzinne, lecz pomimo wszelkich usiłowań, nie zdołała wydobyć z dziewczęcia wyznania o przyczynach, które doprowadziły jej najbliższe otoczenie do ostatecznej nędzy. Zosia mówiła o matce, zmarłej w szpitalu, [illegible] i Sabince, lecz nie wspominała nic o ojcu i wyroku, skazującym go na śmierć, ani w jakim celu wyszła w nocy sama z domu.

— Prawdopodobnie pragnęłabyś jaknajśpieszniej zobaczyć się z babką i siostrą?

— O tak, pani!... bo... bo chciałabym, żeby Sabinka była także, jak ja obecnie, szczęśliwą...

— Więc powiadasz, moja mała, że czujesz się u mnie szczęśliwą? Jakże mnie to cieszy. Nie wolno ci jednak jeszcze na świeże powietrze wychodzić. Doktór nie pozwala. Odsłoń nieco firanki i spojrzyj na ulicę. Widzisz, śnieg pada. Rozumiesz chyba, jak byłoby dla twego zdrowia niebezpiecznem wyjść z ciepłych pokoi na mróz, od którego tyle ucierpiałaś.

Zosia zamyśliła się i zamilkła, księżna wyczytała jednak w jej wzroku wdzięczność, jaką dziecko przejęte było dla „dobrej pani", która tak czule pielęgnowała je w chorobie. Dziewczynka nie umiała uczuć swoich wysłowić, lecz ożywienie twarzyczki, blask ślicznych, błękitnych oczu i słodycz uśmiechu, świadczyły więcej o jej wdzięczności od wszelkich, choćby najpiękniejszych wyrazów. Nagle rzęsiste łzy popłynęły z pod powiek dziewczątka, ale otarła je szybko i szepnęła z westchnieniem:

— Chciałabym tylko ucałować babcię i Sabinkę, a potem powróciłabym zaraz. Czy pani pozwoli mi pójść do nich dzisiaj?

W tej chwili lokaj zaanonsował lekarza.

— W czas przybywasz szanowny doktorze — rzekła księżna. — Nasza mała wybiera się z domu. Chce odwiedzić krewnych, z którymi nie widziała się oddawna.

— O, nie! nie! Za nic w świecie! Chora musi jeszcze dwa tygodnie spędzić w pałacu.

— Możebyś pozwolił, panie konsyliarzu, żebym ją zawiozła w zamkniętej karecie.

— Pod żadnym pozorem. Najlżejsze przeziębienie sprowadzić może recydywę, a recydywa w stanie, w jakim się znajduje, grozi katastrofą.

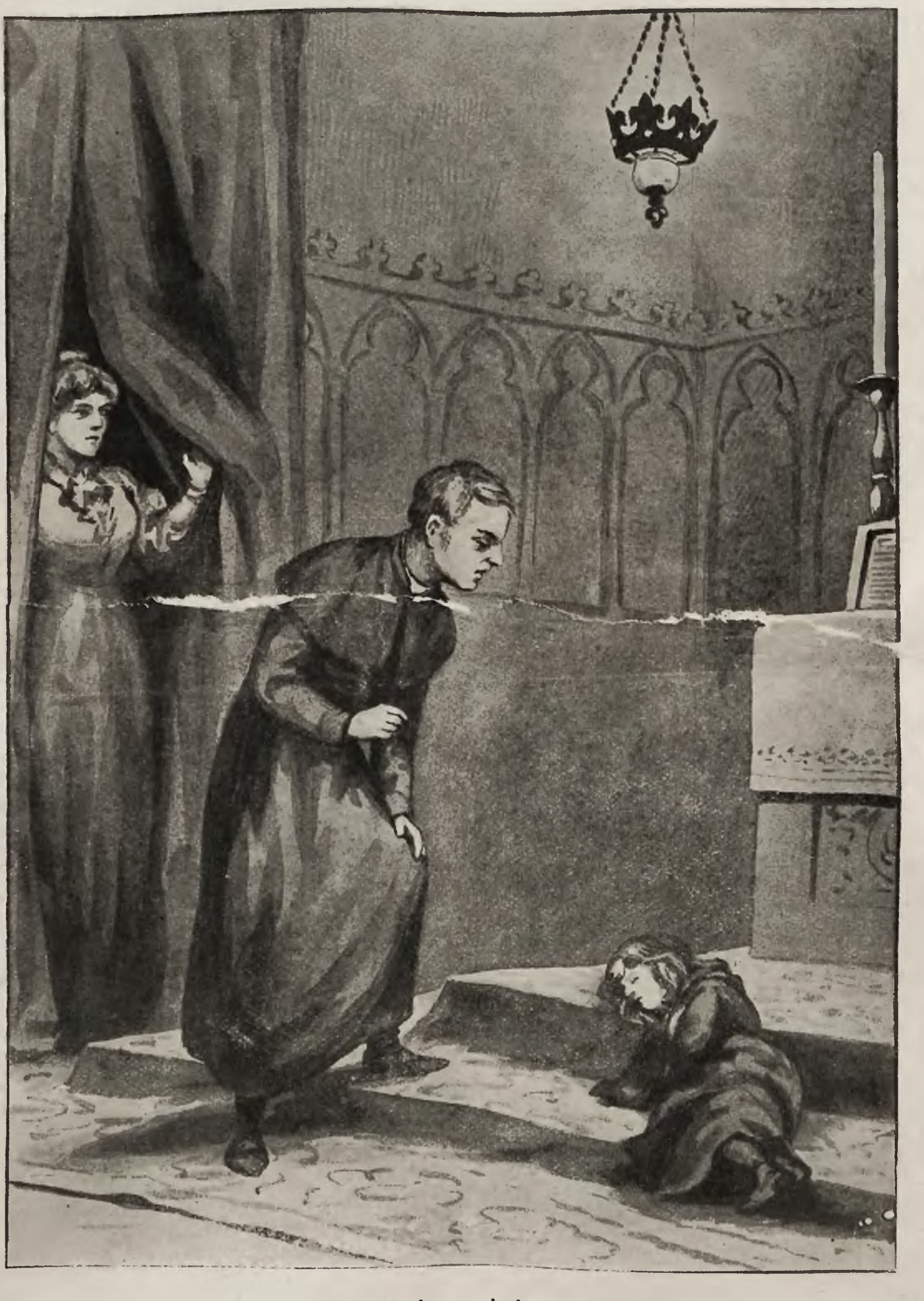
— Widzisz, moje dziecko — powiedziała księżna po odejściu lekarza — musisz tu jeszcze pozostać. Nie mogłabym wziąść na siebie odpowiedzialności za odwiezienie cię do babki i siostry, lecz jeśli wskażesz mi ich adres, sama pojadę, albo wyprawię mego brata, a on się z pewnością dowie, co się z niemi dzieje.

— Czy pani pozwoli, żeby do mnie przyszły? — a mówiąc to, oczy dziewczynki zapałały radosnymi blaskami.

— Widzę, że się nudzisz ze mną — rzekła księżna — i nie dziwię się temu. Jestem stara i niemal zawsze chmurna, a dzieci nie lubią siwych włosów i ludzi smutnych. Tak, tak... istotnie nie często bywam wesołą.

— A jednak pani taka bogata! Tu tak pięknie... tak pięknie!... że nieraz patrząc na to wszystko, zdaje mi się, że śnię... albo, że jak w bajce dobra jakaś wróżka przeniosła mnie do zaczarowanego, królewskiego zamku...

— Chciej wierzyć, moja mała, że bogactwo szczęścia nie daje... nie pociesza po doznanych zawodach i nie koi żalu, spowodowanego żałobą.



Zdaje mi się, że ci przyniosłam szczęście...

Pieniądz tyle tylko radości sprawia, o ile go między biednych rozdać można!

To mówiąc, wzięła Zosię za ręce i pocałowała ją w powieki, z pod których sączyły się łzy rzęsiste.

— Pieniądze! pieniądze! — mówiła szeptem dziewczynka, wznosząc wilgotne oczy na księżnę — och, pieniądze! Gdyby pani wiedziała, jak nieszczęśliwymi są ci, którzy ich nie mają i muszą żebrać, żeby nie umrzeć z głodu. Gdyby można było przynajmniej życie sobie odebrać, ale nie wolno... Bóg zabrania.

Wyrazy dziecka, wypowiedziane z naiwną prostotą, wzruszyły księżnę do głębi. Szlachetna i wspaniała dzieliła się swymi dochodami z liczną rzeszą wydziedziczonych, lecz dochodami tylko, bo dobra ziemskie i kapitały przechowywać musiała nieuszczuplone dla młodego hrabiego Jerzego Wielogrodzkiego, syna opłakiwanego przez nią starszego brata, na którego według woli rodziców, wyrażonej w testamencie, przechodził z czasem (nie miała bowiem własnych dzieci) cały jej majątek. Przyrzekła to ojcu i matce, gdy jeszcze żyli, więc danego słowa dochowywała święcie.

— No, dziecko moje — rzekła po chwili — ponieważ chcesz koniecznie widzieć się z babcią i siostrzyczką, więc sama po nie pojadę.

— Och, jaka pani dobra!... dziękuję... bardzo dziękuję!

— A adres?

— Numeru nie pamiętam, ale bardzo łatwo trafić: pierwsza uliczka na Nowem-Mieście, idąc od strony Wisły... w bok, na prawo od kościoła... Dom brudny, odrapany z tynku...

— No, no, może i trafię. A jakże się twoja babunia nazywa?

— Pani Żarska.

Nazwisko nie obudziło w umyśle księżnej żadnych podejrzeń. Wyjęła z sekretarzyka notatnik, zapisała w nim informacye Zosi i zadzwoniła. Wszedł służący.

— Proszę powiedzieć stangretowi, żeby zajechał.

Narzuciła na ramiona długi płaszcz futrzany i pożegnawszy się raz jeszcze z Zosią, zbiegła ze schodów.

W pół godziny potem kareta jej zatrzymała się przed wskazanym domem. Księżna wyskoczywszy z powozu, weszła w bramę, w której łatwo znalazła izdebkę stróżki. Otworzyła niskie drzwi do niej wiodące i zapytała:

— Gdzie mieszka pani Żarska?

— O, mój Boże! — odparła stara kobieta tonem osoby, powtarzającej kilkakrotnie już wygłaszane opowiadanie. Pani Żarskiej tu niema. Stała się z nią niby cała historya. Pewnego wieczora, gdy jedna z jej wnuczek nie wiadomo gdzie zniknęła i bez drugi dzień do dom nie wróciła, staruszka po prostu zwaryowała. Chwyciła drugą dziewczynkę za rączkę i poleciała Bóg jeden wie dokąd. To już miesiąc temu będzie. Może... Boże broń!... utopiła się razem z dzieckiem, albo inną jaką sobie śmierć zadała, bo tu u nich okrutna była bieda. Bywało, proszę paniusi, ani cebulki, ani w co wkra[illegible] Nie co [illegible] kładły warzone... ba, i zimne do gęby. Jak Zosia... bo to, proszę paniusi, bliźniaczki... dobrze mówię, gdy Zosia przepadła, to stara, wraz z Sabinką, całą noc nie spały. Przyszły do mnie i płakały, że aż serce się ściskało. U ślepej, proszę paniusi, to te jej białe, blachmanem zaszłe oczy, zrobiły się duże, jak dwa ruble srebrne!

Potok słów, przecięty astmatyczną dusznością, urwał się nagle.

Księżna nie starała się ukrywać swego wzruszenia.

— Nie trzeba jednak brać tego bardzo do serca, proszę paniusi — ciągnęła dalej stróżka, odetchnąwszy głęboko — bo bieda u nas w Warszawie straszna i niejedna porządna familia umiera z głodu. Niechże pani, będzie łaskawa usiąść... tu, na ławeczce. Dali Bóg, że czysta, bo ja kocham się w czystości, więc każdy sprzęcik szoruje szczotką z gorącą wodą... o, tak... a potem niby szklankę, wycieram płócienną ściereczką.

Księżna siadła na ławce. Myśl, że to ona może stała się przyczyną całego nieszczęścia, wstrząsnęła nią do głębi. Dla czego zaraz po znalezieniu Zosi nie dowiedziała się, gdzie mieszka jej babka?... Ależ nie mogła tego uczynić!... Jest niewinną... Wszakże dziewczynka leżała bezprzytomna w gorączce. Nic od niej dowiedzieć się nie było można.

Przesunęła rękę po pięknem jeszcze czole i spytała drżącym głosem:

— Czy nie mieliście o zaginionej żadnej wiadomości?

— Żadnej. Byłam w cyrkule, bo to o takich wypadkach trzeba koniecznie donosić... no, i prosiłam, żeby policya szukała...

Czy szukano?

— Pewno... ale nie znaleziono. Jak kamień w wodę, proszę paniusi. Aha, dowiedziano się ino, że ci niby Żarscy, to rodzina onego doktora, co miał zamordować jakiegoś hrabiego... a ona ślepa, to matka wysłanego do „katorżnych" robót... a dziewczynki, to jego córeczki...

Ciąg dalszy nastąpi.



Kościół OO Kapucynów na Zamarstynowie: Tymczasowe schronienie zakonników.

Kościół OO. Kapucynów na Zamarstynowie.

Najsympatyczniejszym i najpatryotyczniejszym ze wszystkich konwentów w Polsce jest bezsprzecznie obok Bernardynów — zakon OO. Kapucynów. W całym świecie posiada on swoje placówki. Z Kapucynami spotykamy się zarówno w Niemczech, Włoszech i Francyi, jak i Grecyi, Brazylii, Kongo, Syryi i Egipcie. Nie brak ich także i w Polsce, gdzie ich sprowadził — wykonując swe śluby — król Jan III.

Ojcowie zyskali odrazu sympatyę i miłość narodu. Zasłużyli zaś na nią zupełnie, szczepiąc w ludzie gorącą miłość Królowej Polski, garnąc do serca okrytego grubym habitem biedaków i sieroty, dzieląc się z nimi ostatnim chleba kawałkiem, ocierając łzy smutnym i nieszczęśliwym. Szli śmiało w szeregach walczących, już to błogosławiąc zastępy rycerskie w imię Matki Bożej, już też sami walcząc z bronią w ręku. A wieluż z nich na wygnaniu lub w podziemiach Nerczyńska opłakany żywot pędziło!

Śmiało walczył Jan III. z tureckim ciemięzcą, wspierany modlitwą i radą Kapucynów, szedł pełen męztwa Kościuszko — na pola racławickie — po otrzymanem poświęceniu pałasza ręką kapucyna u stóp Loretańskiej Królowej.

Do licznych klasztorów OO. Kapucynów w Polsce przybywa jeszcze jeden: klasztor na Zamarstynowie pode Lwowem. Zamarstynów pierwotnie własność „Samersteinów“ stanowi niejako przedmieście Lwowa, a zamieszkały jest przez najuboższą wyrobniczą ludność.

Prałat parafii św. Marcina ks. Edward Podolski, sprowadził tu ten zakon. W r. 1778 skasowany został we Lwowie zakon Kapucynów; obecnie po wiekowej przeszło przerwie znaleźli, się za-



Kościół Kapucynów na Zamarstynowie: O. Anioł uczony zakonnik.

tem Ojcowie znowu na terytoryum Lwiego Grodu. Na obszernym pustym placu wzniesiono małą drewnianą kapliczkę — opodal zaś skromny domek mieszkalny.

Dzień 31 lipca 1904 r. był dniem uroczystego wprowadzenia Kapucynów do miejsc obecnego pobytu.

Ojcowie Kapucyni cieszą się wśród ubogiej ludności zasłużoną miłością i uznaniem. Tłumnie też bywa odwiedzana uboga drewniana kapliczka — przez pobożnych i złaknionych pociechy!

W niniejszym numerze podajemy zdjęcia tym-



Kościół OO. Kapucynów na Zamarstynowie: Drewniana kapliczka, tymczasowo wzniesiona na miejscu przyszłego kościoła.

czasowej siedziby czcigodnych Ojców. Jest to mały drewniany kościółek i domek, miejsce ich zamieszkania. Podajemy również podobizny Ojców stanowiących na razie cały konwent miniaturowego tego klasztoru.

Z Ojców wyróżnia się zwłaszcza wysokiem humanitarnem i teologicznem wykształceniem, czcigodny O. Anioł. Sympatyczną tę postać zacnego polskiego mnicha — przynosimy w wiernej reprodukcyi w niniejszym numerze.

Mars — przy zabawie.

Zawód i służba wojskowa, aczkolwiek surowa, wymagająca karności, sprężystości i wszystkich tych cennych zalet ciała i umysłu, jakiemi prawi synowie Marsa się odznaczają — nie wyklucza jednak bynajmniej wesołego życia towarzyskiego, jego uciech i przyjemności.

Można być bardzo dobrym oficerem a równocześnie utrzymywać przyjazne stosunki towarzyskie z ludnością. Niezliczone przykłady tego mamy u bardzo wysoko i najwyżej postawionych dygnitarzy wojskowych, którzy po za obowiązkami służbowemi, za punkt honoru uważają utrzymywanie dobrych stosunków załogi z miejscową ludnością.

Normalne i zdrowe takie stosunki panują z dawien dawna we Lwowie. Sam naczelny komendant korpusu lwowskiego baron Fiedler jest człowiekiem nadzwyczaj poprawnym, odznacza się towarzyskością i subtelnem prawdziwie arystokratycznem wychowaniem. Baron Fiedler jest sam zawołanym sportsmenem i interesuje się niezmiernie żywo rozwojem sportu we Lwowie. Podczas ostatniego zjazdu Sokołów we Lwowie bawił br. Fiedler dla poratowania zdrowia w Abbazyi. Tam też polecił sobie przysyłać telegraficzne sprawozdania z przebiegu zjazdu i wyniku ćwiczeń gimnastycznych. Podkomendnym oficerom zaś nietylko, że pozwolił na branie udziału w uroczystościach sokolskich, ale również polecił w telegraficznej drodze — intendanturze wojskowej by na zapotrzebowanie Sokoła udzieliła natychmiast odpowiedniej ilości łóżek, sienników i koców — dla gości zjazdu.

Pilnie też baczy na to, by żaden dysonans nie zakłócił tradycyonalnej harmonii panującej z dawnych lat jeszcze między publicznością lwowską a załogą — pomny na to, że większą część tej załogi stanowią właśnie Polacy, wśród których liczy wielu dzielnych i wykształconych oficerów.

Ale i w małem ściśle koleżeńskiem kółku znajomych i przyjaciół hołduje chętnie wesołości i zabawie, zawiązując sportowe kluby i stowarzyszenia.

Rycina nasza przedstawia właśnie sympatycznego komendanta korpusu lwowskiego, oddającego się wraz z kolegami i otoczeniem — hygienicznej a wesołej rozrywce: grze w lawn-tennisa.



Mars przy zabawie: Komendant lwowskiego korpusu baron Fiedler wraz z otoczeniem przy grze w lawn-tennis.



Kościół OO. Kapucynów na Zamarstynowie: Konwent OO. Kapucynów składający się z czterech zakonników.



Grzmi na Bałkanie!..: Abdul-Hamid II. sułtan turecki.

Grzmi na Bałkanie!...

Ponad śnieżnymi szczytami gór bałkańskich, gromadzą się czarne chmury, ciężarne w gromy i błyskawice. Sułtan Abdul-Hamid II., który w r. 1876 przywdział koronę otomańską, jako drugi syn Abdul-Medżida, musi walczyć nie tylko z trudnościami finansowemi, w jakich się jego państwo znajduje, nie tylko musi czuwać i bronić się przed konstytucyjną partyą młodoturecką, którzy marzą o wolnem państwie i udziale całego narodu w życiu politycznem, ale prócz tego los każe mu wciąż baczyć na nadgraniczny pas, do którego przytykają słowiańskie państwa półwyspu bałkańskiego, bo tam wiecznie wre i kipi...

Sułtan Abdul-Hamid, choć pewny, że dla utrzymania równowagi mocarstwa europejskie nie dopuszczają do rozbioru Wielkiej Porty, obawia się jednak dwóch rzeczy.

Więc najpierw rewolucyi pałacowej, która wskazałaby mu drogę do siódmego raju Mahometa, gdzie mógłby pozdrowić Allaha, ustępując na ziemi miejsca któremuś z swych krewnych, a potem wszechwładny padyszach wciąż ma na myśli sławny traktat berliński, zawarty po wojnie rosyjsko-tureckiej.

Traktat ten uszczuplił potężnie granice otomańskiego państwa, drugi zaś traktat zawarty z Anglią oddał pod jej protektorat Turcyę azyatycką, podczas gdy podobnym traktatem europejskie posiadłości sułtana objęła Austrya w swą opiekę.

Naturalnie traktaty te gwarantują nietykalność granic Turcyi, ale sułtan żyje w ciągłej obawie, aby przypadkiem równowaga państwowa nie ułożyła się do snu i aby mocarstwa państwem Mahometa nie podzieliły się tak, jak... bracia Józefa jego szatą...

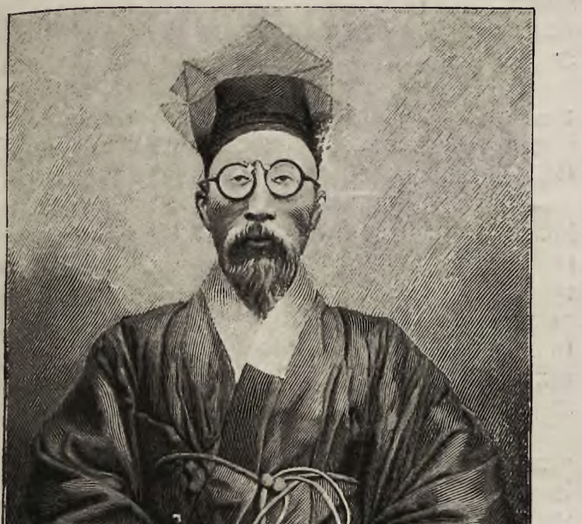
I obawy Abdul-Hamida są słuszne. Wszak, gdy rozpoczęły się rozruchy w Macedonii, gdy Albańczycy z jednej strony zaczęli, a z drugiej strony wzburzyły porządek, względnie nieporządek turecki rewolucyjne komitety macedońskie i powstańcze, wspomagane przez Bułgaryę — mocarstwa wdały się w tę sprawę.

I mimo, że to dla Turcyi było chyba bardzo nieprzyjemnem, odegrały wobec sułtana rolę kuratora. Międzynarodowa żandarmerya, utworzona z szeregów mocarstwowych żołnierzy, wkroczyła na turecki teren, aby utrzymać tam porządek, wziąć w karby nieugiętych a zuchwałych Albańczyków i ochronić ludność chrześcijańską przed rzeziami „wiernych“ poddanych sułtana.

Uzasadnioną jest zatem obawa Abdul-Hamida o przyszłość — a uzasadniona tem bardziej, że obecnie z chwilą, gdy zbliża się wiosna i komitety macedońskie zaczynają znów dawać znaki życia, mocarstwa chcą podwyższyć liczbę żandarmeryi międzynarodowej.

W tych politycznych stosunkach życie sułtana Abd-ul-Hamida nie należy do najprzyjemniejszych. Z jednej strony wieczna groza utraty korony, a raczej nie tak korony, jak państwa, z drugiej wewnętrzne zamieszki i spiski pałacowe, których biedny padyszach musi się więcej obawiać, niż rewolucyjnych dążeń Młodoturków i konstytucyjnych prądów, nurtujących w rdzennie tureckiem społeczeństwie, nie umilają mu chyba życia!...

Krótki ten szkic obecnych stosunków na półwyspie bałkańskim i sytuacyi, w jakiej znajduje się już od szeregu lat sułtan Abdul, podajemy dla tego, bo choć do wiosny jeszcze daleko, choć śniegi bielą szczyty Bałkanu, na granicy bułgarskiej znowu wre i kipi — a wrzenie to odbija się głośnem echem w gabinetach ambasad i ministeryów zagranicznych, gdzie dyktują wprawdzie delikatnie i grzecznie, ale stanowczo recepty, do których turecki pacyent musi się stosować, czy chce, czy nie chce!...



Cesarz koreański Yi-Heng: Wzięty w kuratelę japońską władca Korei

Cesarz koreański Yi-Heng.

Wielkie, światowe wojny dadzą się porównać pod pewnym względem z hazardową grą w karty. Dobry gracz i dobry polityk wie o tem, że często symulować trzeba zainteresowanie się jakoś kartą, ewentualnie kwestyą – dla odkrycia prawdziwych celów gry — czy polityki.

Klasyczny a dosadny przykład takiej podstępnej gry — mamy w obecnej wojnie rosyjsko-japońskiej. Japonia wyzwała do gry Rosyę i chwyciła za pierwszą lepszą kartę, by ukryć właściwe swe zamiary przed partnerką. Kartą tą była — Korea. Nie twierdzimy bynajmniej, by Korea nie przedstawiała żadnego interesu dla zaborczej Japonii. Powołujemy się jednak na ostatnie wynurzenia jen. Nogi, który oświadczył, że chociaż z początku wojny chodziło jedynie o Koreę — dziś jednak Japończycy zrzekną się wszystkiego innego, niżby mieli oddać Port-Artura. Jest to przecież bardzo znamienne i charakterystyczne. Japończycy zaanektowali Koreę, wcielili koreańskie wojsko w swoją armię, objęli w własny zarząd administracye i finanse państwa, a z panującego samowładcy uczynili śmieszną, pożałowania godną maryonetkę.

Przypatrzmy się bliżej tej egzotycznej margonetce na tronie.

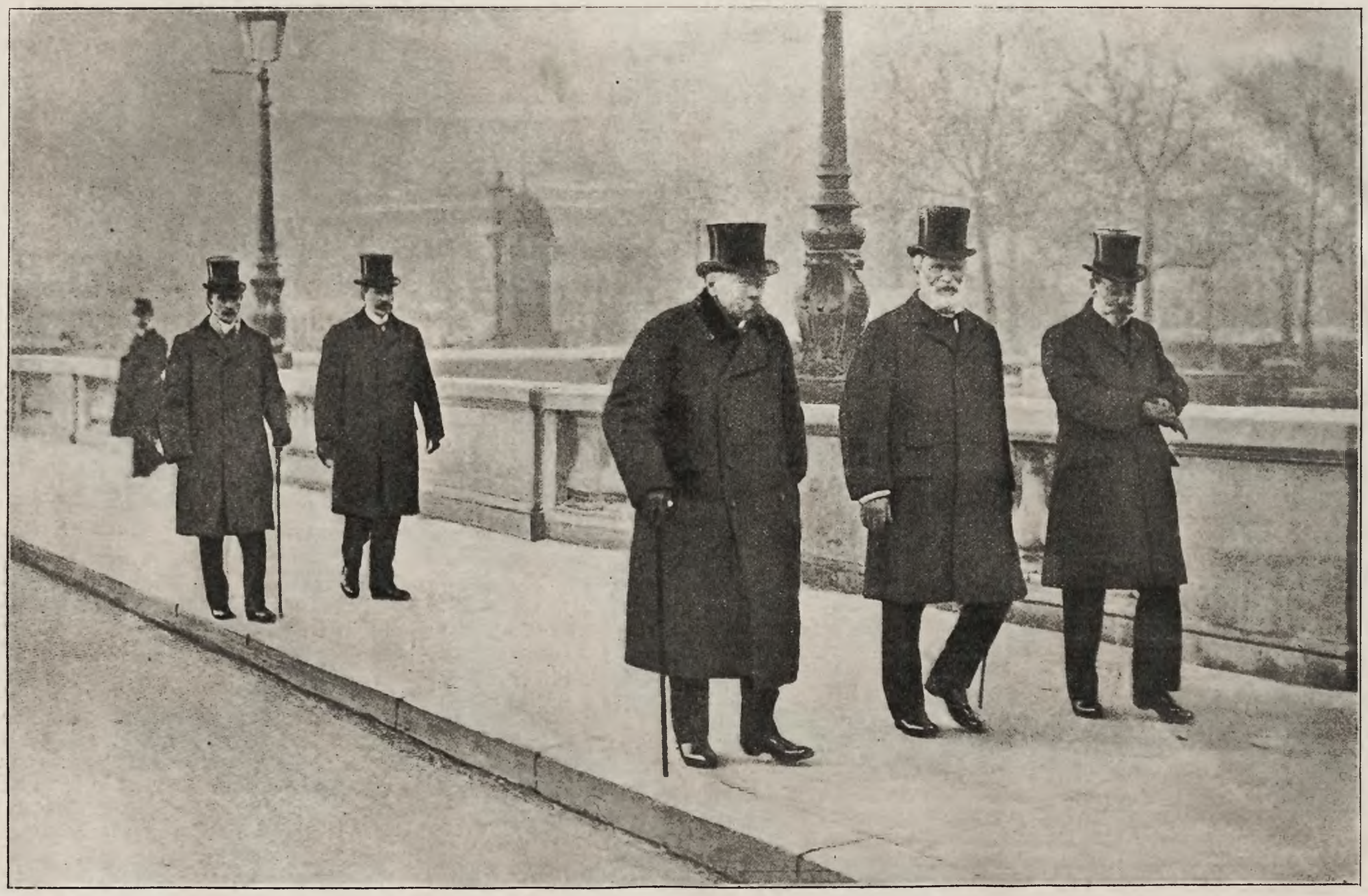
Ogółem nie do pozazdroszczenia jest los panujących, którzy dosłownie „obawiają się cienia własnego“ — nie wierzą otoczeniu, podejrzywają lud własny, a sprzeniewierzające się im małżonki wypędzają za granice pałacu i kraju.

Opłakane takie stosunki są rzadkością na „dalekim Wschodzie“. Tam ludzie cywilizacyą Europy nie zarażeni — nie mają tych wszystkich powikłań, które są zmorą przodowniczki cywilizacyi. Tam nie było przykładu, by lud rewoltował się przeciw władcom, by ukoronowane żony podniecone namiętnością własną, rzucały się w objęcia guwernerów.

Jego cesarska mość Yi-Heng cesarz Korei jest potomkiem 34 dynastyi w tym kraju. Światło dzienne ujrzał w r. 1852, a w r. 1897 ogłosił się cesarzem. Japonia pierwsza uznała niezawisłość Korei, ale zarazem i pierwsza zadała cios tej niezawisłości. Za pierwsze uznanie uzyskała Japonia wstęp wolny do kilku najważniejszych portów Korei, i prawo utrzymywania konsulów w głównych miastach kraju. Począwszy od roku 1882 nadawał cesarz koreański ustawiczne koncesye różnym państwom na wstęp i prawo osiedlania się w portach i miastach Korei. Kolejno koncesye te uzyskały państwa: Ameryka, Anglia i Niemcy; następnie Francyi, — a na samym końcu... nawet i Austrya. Jak widzimy więc, monarcha koreański nie był wcale wrogo dla Europy usposobiony. W życiu prywatnem był to również niezły człowiek. Żona jego zmarła niedawno, była córką misyonarza amerykańskiego i jej to prawdopodobnie zawdzięczać należy ów wpływ znaczny, jaki na dworze koreańskim zyskała biała rasa. Dzisiaj stosunki się zmieniły. Biedny król utracił towarzyszkę życia, utracił dawny blask swej korony — najprawdopodobniej utraci i królestwo. Utraci je nie z przyczyny „białych dyabłów“ – lecz z łaski skuzynowanego i sprzymierzonego narodu: Japończyków...



Epilog napadu floty rosyjskiej na rybaków w Hull: Admirał marynarki austro-węgierskiej baron Spaun, przewodniczący komisyi rozjemczej. (Treść na str. 8).



Adm. Kaznakow. Wiceadm. Beaumont. Adm. K. Davis (Ameryka).
Epilog napadu floty rosyjskiej na rybaków w Hull: Trzej główni członkowie komisyi rozjemczej w sprawie hullskiej na moście Sekwany w Paryżu

Epilog napadu floty rosyjskiej na rybaków w Hull.

Flota bałtycka, podzielona na dwie eskadry pod rozkazami admirała Rożdżestwieńskiego i kontr-admirała Folkershama, minęła już przylądek St. Marie i połączywszy się w Diego Suarez na wybrzeżu północnego Madagaskaru, zamierza, nie czekając na posiłki, wyruszyć dalej na Wschód, a tymczasem w Paryżu ukonstytuowała się komisya rozjemcza dla zbadania smutnej sprawy hulskiej.

Nasi czytelnicy przypomną sobie zapewne, że o sprawie tej pisaliśmy obszernie i podaliśmy szereg ilustracyj, odnoszących się do tego smutnego wypadku. Oto flota bałtycka, przejeżdżając przez kanał La Manche, na wysokości portu Hull napadła ciemną nocą na flotyllę rybacką, zatrudnioną połowem ryb. Mimo, że rybacy zachowali wszelkie przepisy ostrożności i dawali odpowiednie sygnały, kilka okrętów wojennych rosyjskich, wzięło rybackie barki i parowce za japońskie kanonierki i otworzyło na nie silny ogień działowy.

Skutek był straszny. Kilka łodzi zatonęło, reszta ociekła krwią niewinnych rybaków. Cała Europa zawrzała oburzeniem i wobec butnej postawy Rosyi przyszłoby było pewnie do poważnego zatargu z Anglią, gdyby nie interwencya Francyi, która zdołała oba zwaśnione mocarstwa nakłonić do pokojowego załatwienia sprawy, przy pomocy komisyi rozjemczej.

I obecnie w Paryżu ukonstytuowała się ta komisya.

Rosyę reprezentuje admirał Kaznakow, jeden z najzdolniejszych marynarzy, cieszący się zaufaniem sztabu jeneralnego w Petersburgu. Przy jego boku w roli sekretarzy występują podpułkownik Stenger i porucznik okrętowy Wołkow. Oprócz tego reprezentanci Rosyi mają przydanego do pomocy barona Taubego, profesora prawa na Uniwersytecie petersburskim, który jest upoważniony do zabierania głosu doradczego, a którego wspomagać będzie adwokat paryskiego sądu apelacyjnego M. Fromageot. Dla wzmocnienia jednak szeregu obrońców Rożdżestwieńskiego zasiadać będzie także Szambelan Nekludow, jako dyplomatyczny agent rządu rosyjskiego i dragoman ambasady rosyjskiej w Konstantynopolu M. Mandelstamm i ostatnio zamianowany jako reprezentant Rosyi wiceadmirał Dubassow.

Imieniem Anglii zabierać będzie głos w pierwszym rzędzie admirał sir Levis Beaumont, stary wilk morski, który przybrał sobie za sekretarzy kapitana okrętowego T. Morgana, piastującego urząd attaché marynarki przy ambasadzie angielskiej w Paryżu i drugiego sekretarza tej ambasady M. Colville'a, Barclay'a. W kwestyach prawniczych głos doradczy otrzymał sławny prawnik angielski M. Fry, któremu asystuje jeden z najlepszych adwokatów londyńskich. M. Cunliffe. Prócz nich, jako dyplomatę wydelegowała Anglia pierwszego sekretarza swej ambasady w Paryżu M. H. O'Beinne'a.

Stany Zjednoczone zaproszone do udziału w tej komisyi, urząd sędziego rozjemczego złożyły w ręce admirała Dawisa, sławnego marynarza amerykańskiego, któremu asystują: oficer ordynansowy porucznik okrętowy Brichęr i kapitan korwety Roy Campbell Smith. Admirał Fournier wraz z swoim przybocznym adjutantem porucznikiem Herrem zastępują Francyę.

Komisya ta ukonstytuowała się na dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia w bogatym pałacu ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie minister Delcassè własny gabinet oddał na jej użytek. Członkowie komisyi po zapoznaniu się i zweryfikowaniu swoich mandatów, jednomyślnie superarbitrem obrali admirała austro-węgierskiej marynarki barona Spauna, poczem pierwsze posiedzenie oznaczyli na 9 stycznia bieżącego roku.

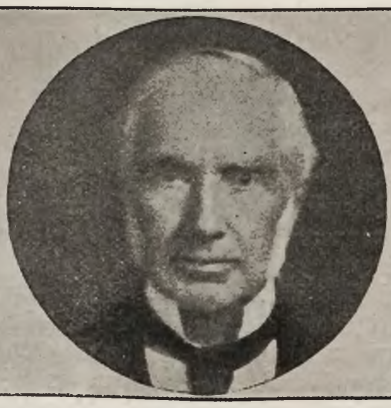
Ciekawym jest wielce wynik tej afery, o której przebiegu i ciekawych momentach nie omieszkamy poinformować naszych Czytelników.



Epilog napadu floty rosyjskiej na rybaków w Hull: Ganinet ministra Delcassé'go w pałacu ministerstwa spraw zagranicznych, oddany na posiedzenia komisyi rozjemczej.



Agent dyplomatyczny
Hugo J. O'Beirne.



Edward Frey
jurysta z głosem doradczym.



Wiceadmirał Levis A. Beaumont
pierwszy reprezentant W. Brytanii.



Wiceadmirał Fournier
członek komisyi rozjemczej ze strony Francyi.



Wiceadmirał Dubassow, nowomianowany zastępca
rządu rosyjskiego do komisyi w Hull.



Admirał Kaznakow
główny reprezentant monarchii rosyjskiej.

Epilog napadu floty rosyjskiej na rybaków w Hull.

Śmierć nestorki książąt niemieckich.

Jest jedno księstewko niemieckiej Rzeszy, które szczęśliwemi kombinacyami małżeńskiemi zawładnęło — naturalnie w linii żeńskiej — kilku potężnymi tronami Europy. Księstewko to zowie się Koburg-Gotha. To też każdy cios, każde radosne zdarzenie w domu Koburg-Gotha, odbija się szerokiem echem po całej Europie. W ostatnich czasach poniósł dwór gotajski ciężką stratę: śmierć zabrała sędziwą „kuzynkę królów“ — księżnę Aleksandrę z domu sasko-kobursko-gotajskiego.

Zmarła liczyła lat 84 i pochodziła z domu badeńskiego a była wdową po zmarłym w r. 1893 księciu sasko-kobursko-gotajskim Erneście II. Matka jej pochodziła z panującego domu szwedzkiego, gdzie zmarła otrzymała skromne, ale staranne domowe wychowanie. Książę sasko-koburski Ernest. wesoły młodzieniec, poznał swoją przyszłą żonę w Norymberdze. W r. 1842 przyszło małżeństwo do skutku. Przez związek ten skoligaciła się młoda księżniczka z najpierwszemi domami panującemi w Europie. I tak: wuj jej męża był królem belgijskim. a jego brat rodzony, małżonkiem młodej podówczas angielskiej monarchini — królowej Wiktoryi. Brat zmarłej księżnej, ożeniony był z ks. Luizą pruską, przez którą to kolligacyę weszła znowu w pokrewieństwo z cesarzem niemieckim Fryderykiem III.

Zmarła księżna i jej małżonek nie mieli dzieci. Życie pędzili wesoło, nie zaznawszy co to jarzmo obowiązku, lub troska wychowywania spadkobierców tronu i nazwiska.

Wraz ze zmarłą księżną zstępuje do grobu dawna tradycya świetności małych tronów niemieckich.



Smierć nestorki książąt niemieckich: Zmarła księżna sasko-kobursko-gotajska Aleksandra.

Ostatni bohater z pod Grochowo i Ostrołęki.

Ostatni z „tysiąca walecznych“, co stanowili głośny, czwarty pułk piechoty, który podczas listopadowego powstania okrył się nieśmiertelną sławą w bezprzykładnej śmiałości atakach na bagnety — ostatni z owych dziesięciu, co po upadku tego powstania stanowili cały ten pułk czwarty, Stanisław Józef Berini wydał ostatnie tchnienie dnia 2 stycznia b. r. w Gilowcach pod Żywcem.

Ciężkiem, pełnem męczarni było życie tego męczennika narodowej sprawy.

Urodzony w roku 1808 w Słaboszowicach w Królestwie Polskiem, wstąpił do szkoły podchorążych, a po ukończeniu jej, w randze porucznika został wcielony do czwartego pułku piechoty, słynnego pod nazwą „Czwartaków“.

Gdy nad Belwederem zaświeciła łuna, gdy umknął z Warszawy wielki książę Konstanty i naród polski zerwał się do walki o niepodległość, ś. p. Berini wraz z swym pułkiem pospieszył na plac boju, brał udział we wszystkich bitwach, prowadził swych żołnierzy do ataku pod Olszynką, Grochowem i Ostrołęką, aż został raniony podczas zdobycia Warszawy.

Po upadku powstania należał do tych gorących patryotów, którzy w roku 1833 postanowili wskrzesić je na nowo. Został jednak ujęty z bronią w ręku podczas napadu na Józefów, gdzie z jego karabinu padł pierwszy strzał do kozaków.

Sąd wojenny rosyjski w Lublinie skazał go za to — na dwa tysiące kijów i dożywotnie męki katorżnika w gubernii irkuckiej.

Pierwszą karę odcierpiał w całości. Kajdany katorżnicze dwadzieścia siedm lat dźwigał, aż wreszcie doczekał się amnestyi.

Porzuciwszy syberyjską ziemię, powrócił do Warszawy, a następnie osiadł w Galicyi, gdzie podczas styczniowego powstania w roku 1863 za udział w organizacyi narodowej otrzymał znowu karę trzymiesięcznego więzienia.

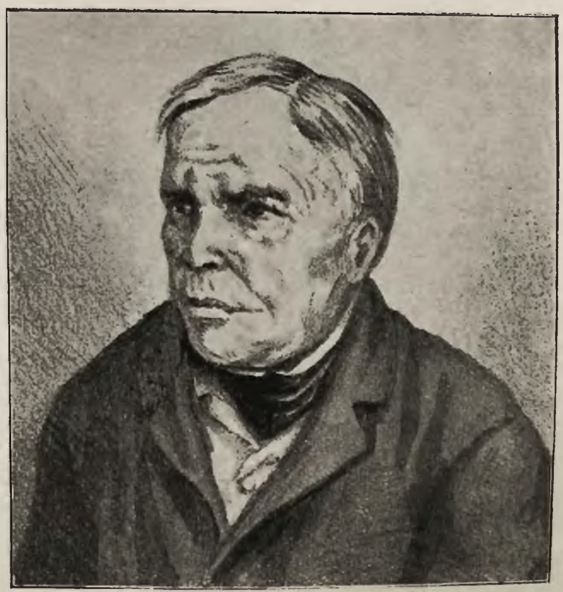
A pracował przy tem ciężko na chleb powszedni, jako prywatny oficyalista w dobrach hr. Branickich, gdzie dosłużywszy się emerytury, na schyłku życia zakosztował wreszcie spokoju i wytchnienia, które mu się tak słusznie należały, za krew przelaną w obronie ojczystej ziemi i za tyle mąk, spowodowanych tem, że ojczyznę kochał więcej od siebie.

Nad grobem ostatniego z bohaterów listopadowego powstania szepce dziś cały naród:

„Cześć pamięci męczennika!“

Na skromny cmentarzyk wiejski w Gilowcach wśród śnieżnej zadymki przybył orszak pogrzebowy, złożony z rodziny zmarłego, oficyalistów z dóbr Branickich, delegatów „Sokoła“ żywieckiego i ludu wiejskiego.

Drewnianą szarą trumnę, w której spoczęły zwłoki polskiego oficera, leśni na własnych barkach wnieśli na cmentarzyk. Zabrzmiały żałobne śpiewy, rozległ się płacz osieroconej rodziny i wieśniaczek i trumnę spuszczono do skromnej mogiły na wieczny spoczynek.



Ostatni bohater z pod Grochowa i Ostrołęki:
Stanisław Józef Berini, oficer wojsk polskich, zmarły 2 b. m.



35-letni jubileusz zakładu dla sierót we Lwowie: Hr. Zofia Siemińska, prezesowa komitetu ochronki.

35-letni jubileusz zakładu dla sierot we Lwowie.

Filantropia — to rzadki a piękny kwiat, wyrosły na niwie chrześcijańskiej miłości bliźniego. Rzadki, bo niewielu jest ludzi, rozumiejących znaczenie jej dla społeczeństwa, a jeszcze mniej takich, którzy potrafią rozumnie ją stosować.

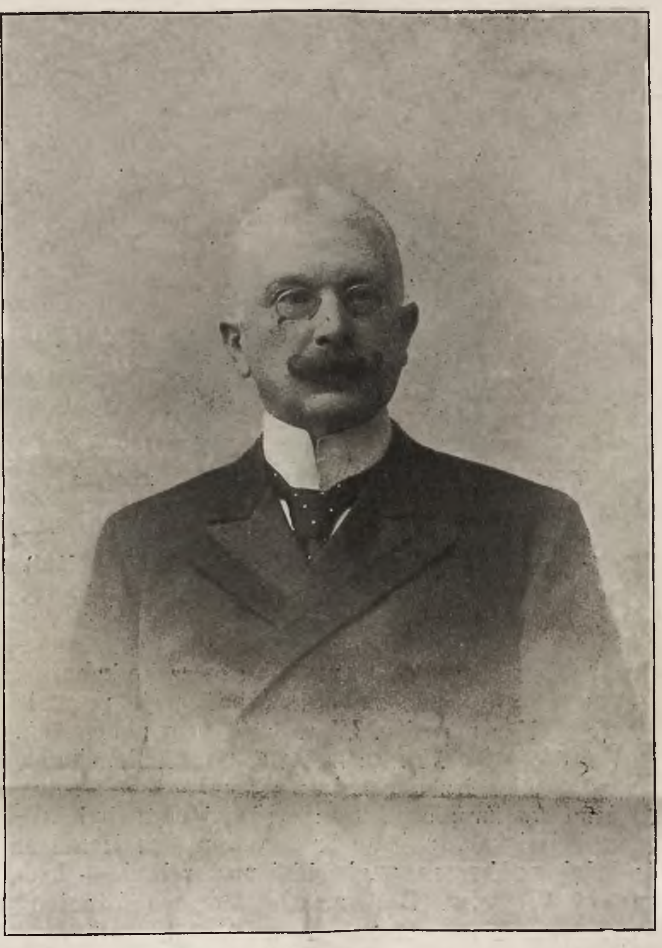
Rozumna filantropia spełnia tylko swe cele: to znaczy goi rany społeczeństwa. Filantropia nie ujęta w pewien system, przeradzająca się zwłaszcza w szafowanie „ślepej jałmużny“, przynosi z pewnością więcej szkody niż pożytku, gdyż często z pominięciem prawdziwie potrzebujących — wspomaga darmozjadów i próżniaków i ludzi stroniących od pracy. Tym sposobem więc, zamiast przeciwdziałać nędzy — powiększa ją tylko. Dla tego też najwłaściwszem, najbardziej wzniosłym celom odpowiadającym, jest zakładanie publicznych dobroczynnych instytucyi, gdzie nad wykonaniem czynnego miłosierdzia i nad kwalifikacyą korzystających z niego —czuwają ludzie uświadomieni i obeznani praktycznie w tym względzie.

W kraju naszym, jak na nasze skromne finansowe stosunki, mamy dosyć zakładów podobnych, powstałych po największej części z ofiarności, bogatych szlachetnych osób — a wspierane następnie publiczną ofiarnością i subwencyami krajowemi i rządowemi.

Jednym z takich dobroczynnych zakładów jest Przytulisko św. Józefa dla sierót przy ul. Piekarskiej we Lwowie.

Instytucya ta święci obecnie 35-lecie chlubnej swej działalności, z której to okazyi chcemy w krótkości zapoznać Czytelników z jej powstaniem i znaczeniem.

Przytulisko św. Józefa we Lwowie przeznaczone jest wyłącznie dla małych dzieci sierot, począwszy od wieku niemowlęcego aż do 7-go roku życia. Tu czuwają nad ich fizycznym rozwojem i zdrowiem zacne zakonnice S.S. „Rodziny Maryi“. Dobroczynny ten zakład stworzony został przed 35 laty, a więc w r. 1870 przez panią J. Hallerową, która własnym kosztem i zabiegami ufundowała gmach i jego urządzenie, a gdzie dziś znachodzi pomieszczenie 30 biednych dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej.



Nowi ministrowie austryaccy: Paweł baron Gautsch v. Frankenthurn obecny prezes ministrów austryackich.

Napływ małych kandydatów jest olbrzymi — rozmiary domu niestety zbyt małe, tak, że zarząd widzi się z konieczności zmuszonym niejednokrotnie do odmawiania proszącym w imieniu sierot.



35-letni jubileusz zakładu dla sierót we Lwowie: Siostra Joanna Wiśniewska.

Po śmierci fundatorki p. Hallerowej obrano prezesową komitetu p. hr. Siemińską, znaną we Lwowie filantropkę. Hr. Siemińska w licznych krytycznych chwilach spieszy z hojną pomocą instytucyi. Jej dobroć i troskliwość o biedne dziatki — wyrobiła w ich sercach miłość i przywiązanie jak do drugiej matki, a uczuciami temi obdarzają one i zacną siostrę Joannę (Wiśniewską).

Cześć i uznanie kobietom, które tak szczytnie pojmują posłannictwo swoje w społeczeństwie.

Nowi ministrowie austryaccy.

Niespodziana dymisya premiera austryackiego, na miejsce którego został br. Gautsch powołany — sprowadziła równocześnie pewne zmiany w całym gabinecie.

Ustępujący prezes ministrów dr. Ernest Koerber, który przez cztery lata kierował sterem rządów austryackich — został wolą Korony dnia 18 stycznia r. 1900 obdarzony misyą utworzenia nowego gabinetu, a to po ustąpieniu Witteka. Koerber — typ austryackiego biurokraty — dobrał sobie odpowiednich ludzi i z ich pomocą rozpoczął okres rządów, nacechowanych tem samem piętnem: „urzędniczego gabinetu“.

Kto wie, jak długo przetrwałby pomimo wszystkich trudności gabinet Koerbera, gdyby nie okoliczność, że p. Koerber miał nieszczęście znudzić, czy też narazić się Izbie panów. Izba panów wydała cichą, ale stanowczą walkę dzisiejszemu ekspremierowi. Z łona tej Izby wyszedł swego czasu naglący wniosek o reformę regulaminu, bez poprzedniego porozumienia się z prezesem ministrów. W tych warunkach było to bardzo dyplomatyczne zainicyonowanie kampanii przeciw Koerberowi, kampanii, która istotnie doprowadziła do obalenia jego gabinetu a powołania do steru rządów bar. Gautscha. Znamienną jest okoliczność, że br. Gautsch sam jest członkiem Izby panów, z której zabójczy ów dla Koerbera wniosek wyszedł.

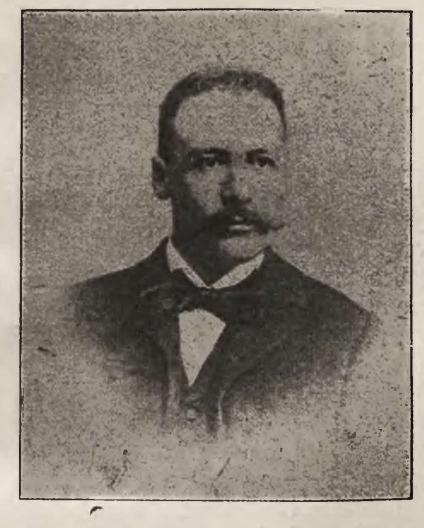
Fakt zatem stał się faktem i dr. Koerber grzecznem odręcznem pismem cesarskiem uwiadomiony został, że dymisya jego zostaje przyjętą. Równocześnie powierzył cesarz utworzenie nowego gabinetu br. Gautschowi. Między przyczynami delikatniejszej natury, które wpłynęły na dymisyę dotychczasowego prezydenta ministrów, wymieniają ponadto wtajemniczeni, że nieszczęsny eks-premier naraził się najwyższym osobom, jak następcy tronu, ks. Waleryi i wpływowym wysokim dygnitarzom tem, że w dniu imienin burmistrza Wiednia dra Luegera — nie przesłał mu swoich gratulacyi. Jakiekolwiek jednak motywy były — fakt pozostaje niezmienionym: gabinet austryacki ma nowego prezesa.

Paweł Gautsch, jako urzędnik cesarski, nie jest w zawodzie swoim „homo novus“.

Z pochodzenia mieszczanin — stosunkami i zdolnościami swemi doprowadził do tego, że przeszedłszy wszystkie szczeble wyższej urzędniczej karyery — uzyskał szlachectwo z tytułem barona i przydomkiem: von Frankenthurm i nominacyę na dożywotniego członka Izby panów. — W roku 1885



35-letni jubileusz zakładu dla sierót we Lwowie: Gwiazdka, urządzona w wieczór wigilijny dla biednych sierót przez siostrę Joannę.



Nowi ministrowie austryaccy: Dr Franciszek Klein tajny radca i kierownik ministerstwa sprawiedliwości.

został ministrem oświaty i wyznań (za ministerstwa Taaffego). W roku 1886 piastował nawet na krótko godność prezesa ministrów. (Bezpośrednio po upadku gabinetu Badeniego). Bar. Gautsch jest stosunkowo dość młodym, gdyż liczy dziś niespełna 53 lat. Atoli z powodu nadwątlonego zdrowia, nie może równocześnie z prezesurą gabinetu, zawiadywać dwoma gabinetami, jak jego poprzednik. To też tekę spraw wewnętrznych złożył w ręce hr. Bylandt-Rheidt'a, a kierownictwo ministerstwa sprawiedliwości, oddał szefowi sekcyi w temże ministerstwie dr. Kleinowi. Inni ministrowie pozostają na dotychczasowych swoich posterunkach, tak że obecny skład gabinetu przedstawia się następująco: prezydyum: Br. Gautsch, sprawy wewnętrzne: hr. Bylandt-Rheidt, obrona krajowa: hr. Welsersheimb, oświata: dr. Hartel, handel: br. Call, koleje: Wittek, finanse: Dr. Kosel, rolnictwo: hr. Bouquoy, sprawiedliwość: Dr. Klein, minister dla Galicyi: dr. Piętak, minister dla Czech: Dr. Randa. Zasadniczych zmian w rządach nowego gabinetu spodziewać się nie można. Prawdopodobnie głównem zadaniem, jakie sobie dr. Gautsch postawi, będzie usiłowanie unormowania stosunku między ludnością czeską i niemiecką w Czechach — i o ile to możliwe — zreformowanie regulaminu w parlamencie.

W dzisiejszym numerze podajemy portrety: nowego premiera i dwóch nowych ministrów w jego gabinecie: spraw wewnętrznych hr. Bylandt-Rheidt'a i ministerstwa, sprawiedliwości Dr. Fr. Kleina.

Tajemnicza śmierć Syvetona.

Paryż, który nigdy nie lubi długo bawić się jedną senzacyą i zanim któraś z nich doczeka się swego ostatecznego rozwiązania, już goni za inną, w tym wypadku zmienił zwyczajowe prawo swej gorączkowej niestałości i — wciąż jeszcze darzy stałem niesłabnącem zaciekawieniem sprawę tajemniczej śmierci Sywetona.

Z kolei, stojący nad grobem starzec, ojciec zmarłego tak tragicznie deputowanego Sywetona zabrał głos i w jednym z nacyonalistycznych dzienników wręcz oświadczył, że nie wierzy, aby syn jego sam sobie odebrał życie, lecz przeciwnie, najświęciej przekonany jest, iż padł on ofiarą morderczego zamachu.

Starzec w enuncyacyach swych wskazuje na to, że deputowany Syweton był tym, ktory nawiązał rokowania z sekretarzem loży masońskiej Bidegainem. „Syn mój — powiada M. Syweton — zdołał przekupić Bidegaina i wydostać od niego tajne dokumenty wolnomularzy, kompromitujące obecny rząd w najwyższym stopniu. Bidegaine, po spełnieniu zdrady, zbiegł do Kairu, ale mściwa ręka *Grand-Orient'u* (nazwa loży masońskiej) dosięgnęła go i tam niebawem. Wiadomo bowiem, że na jednej z ulic tego miasta znaleziono trupa Bidegaina ze sztyletem wbitym w serce. Mordercy nie wykryto do tej pory, ale przy zwłokach zamordowanego znaleziono tę kwotę, za którą dopuścił się zdrady powierzonych mu tajemnic. Wskazuje to wyraźnie, że morderstwo było aktem zemsty, a nie zbrodnią popełnioną dla zysku. Zginął mój syn, który od Bidegaina wydobył tajemnicę, który zwalczył skrupuły i obawy, jakiemi się ten człowiek krępował. I oto przekonany jestem, że ręce, co wynajęły sztylet zbira na Bidegaina, przyczyniły się do śmierci mego syna, który był zawsze uczciwym człowiekiem i pewnie ani nie dopuścił się żadnych defraudacyj, ani też nie wszedł w kolizyę z moralnością“.

Sędzia śledczy, Henryk Boucard, w którego ręce złożono tę tajemniczą sprawę i który należy do najdzielniejszych prawników, umiejących w najzawilszych sytuacyach odnaleźć trop zbrodni, do tej pory nie oświadczył jeszcze, co myśli o enuncyacyach rozżalonego starca. Wprawdzie sędzia Boucard ogółem milczy i półsłówkami zbywa natarczywych paryskich reporterów — ale przecież powinien wyjawić swe zapatrywania w tej sprawie, zwłaszcza, że dzienniki republikańskie ostro odpierają tę „niczem nieuzasadnioną“ — jak mówią — napaść ojca, który w obronie honoru syna chciałby w innych widzieć pospolitych zbrodniarzy.

Poza tym jednym wypadkiem. który poruszył znów opinię publiczną, tworząc w Paryżu dwa nowe obozy, sprawa wyjaśnienia tajemniczego zgonu Gabryela Sywetona nie wiele postąpiła naprzód.

Ciekawość jednak budzi fakt, że sędzia śledczy Boucard otrzymał list, podpisany przez jakiegoś niewykrytego jeszcze autora, imieniem *Jaque.* W liście tym nieznany autor ogłasza, że jest kochankiem Anny Spilmacherówej, pokojówki państwa de Menard i że ona miała dać mu niedwuznacznie do zrozumienia, jakoby Syweton został zamordowany.

Sędzia śledczy przesłuchiwał już Spilmacherównę, ale podobno zeznania jej miały być bardzo oględne, a sama pokojóweczka okazała się skąpszą w słowach wobec sędziego, niż sędzia wobec dziennikarzy, którzy gwałtem chcieliby wydobyć tajemnicę śledztwa.

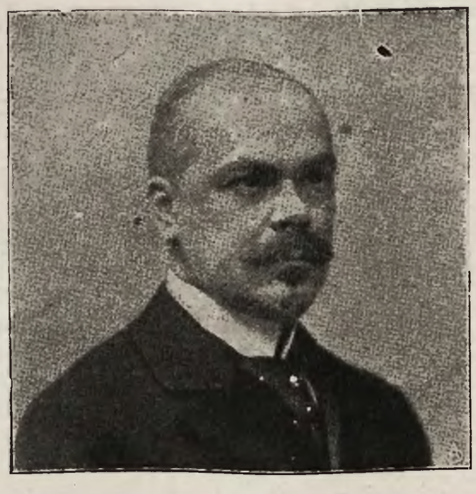
Ostatnie depesze i to z bardzo wiarygodnych źródeł donoszą natomiast, że szwagier zmarłego deputowanego doktor Barnay, który pierwszy oświadczył i zawsze stanowczo twierdził, że Syveton padł ofiarą morderstwa, został zawezwany w sprawie swych oświadczeń przez sędziego Boucarda i musiał się poddać nader ścisłym badaniom.

Sędzia Boucard nietylko zasypał doktora Barnaya ogniem krzyżowych pytań, ale oprócz tego skonfrontował go z wdową Syveton i z jej córką adwokatową de Menard.

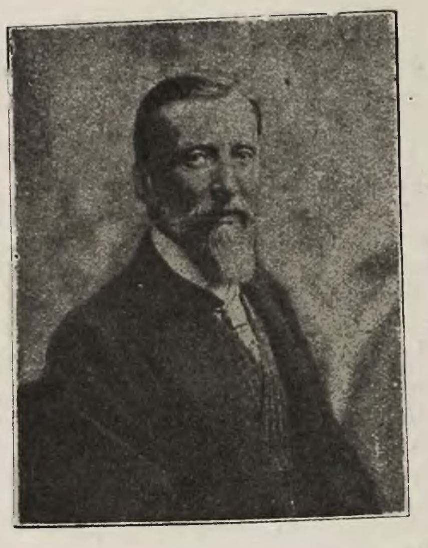
Wynik jednak tych badań nie był bardzo obfity w owoce, gdyż — jak wiarygodna agencya Hawasa donosi — doktor Barnay nie był w stanie dostarczyć niezbitych dowodów do swoich twierdzeń.

Uważają też za możliwe, że śledztwo w tej sprawie zostanie wobec tego zaniechane i sąd przyjmie za pewnik, iż Syveton popełnił samobójstwo.

Być może, że cała ta sprawa weźmie taki obrót, być może jednak, że sędzia Boucard dopóty nie spocznie, dopóki z błędnego koła pogłosek i poszlak nie wyciągnie rzeczywistej prawdy.



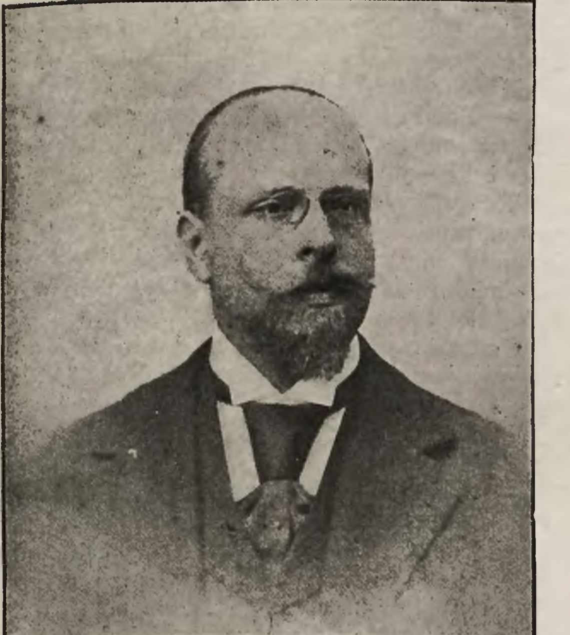
Nowi ministrowie austryaccy: Dr. Ernest Körber b. prezydent ministrów.



Nowi ministrowie austryaccy: Hr. Artur Bylandt-Rheidt minister spraw wewnętrznych.



Tajemnicza śmierć Syvetona: M. Syveton ojciec zmarłego deputowanego.



Tajemnicza śmierć Syvetona: Henryk Boucard, sędzia śledczy badający sprawę tajemniczego zgonu Syvetona.



Tajemnicza śmierć Syvetona: Anna Spilmacher pokojówka państwa de Menard.

Wiarołomna żona.

WSPOŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

14 (Ciąg dalszy).

— Ależ i hrabia Buchenau również mnie ostrzegał, opowiadał o swoim stosunku z tobą i o baletnicy, a hrabia Buchenau jest człowiekiem honoru i do kłamstwa nie zdolnym.

— Buchenau także kłamie, a czyni to przez zemstę, że na jego zabiegi odpowiedziałam, jak przystało uczciwej dziewczynie. Pokazałam mu drzwi.

— Honorowy człowiek za to nie mści się na kobiecie, ale ją tem bardziej szanuje!

To było ciosem najsilniejszym dla Klary. W tych słowach upatrywała wyrok na siebie, ocknienie się księcia, koniec jego miłosnego, a raczej lubieżnego szału. Więc użyła jeszcze tej broni, którą zawsze pokonywała Ferdynanda i rozbudziwszy w sobie cały wulkan roznamiętniającej kokieteryi, buchnęła lawą tego wulkanu. Z ócz jej iskrzyły się błyskawice, pierś podnosiła się namiętnie, z szerokiego rękawa sukni dobyło się obnażone ramię, usta rozwarły się i wilżyły; silny, falisty oddech grał na nich rozkosznie.

— Ferdynandzie! — rzekła dźwięcznie, głosem łzawym, uroczystym — Ferdynandzie! Patrz na mnie. Czy na mej twarzy, w mych oczach wyczytać możesz kłamstwo i obłudę? Jażbym ciebie oszukiwać miała? Wolałabym śmierć sobie zadać, niż przed tobą mieć tajemnicę. Patrz na mnie, czytaj w moich oczach, czytaj na mojej twarzy! Tam nie znajdziesz kłamstw nigdzie, tylko miłość, miłość i miłość dla ciebie, ty mój jedyny, najdroższy, najmilszy, a jedyny w życiu, którego serce moje ukochało.

Ale Ferdynand nie słuchał dziś syreniego głosu. Klara zoryentowała się prędko, że zwykła broń zawodzi. Odrzuciła kokieteryę. Klin wybić klinem, podejrzenie podejrzeniem. Więc nastroiła głos na ton poważny, żałobny.

— Ofiarą jestem zazdrości ludzkiej. Wurm, hrabianka, nawet Buchenau, nie mogą znieść tego, żeś mnie wyniósł do godności swej żony: nie mogą znieść swego upokorzenia. Radziby mnie zgubić, oderwać od ciebie, a potem urągać mi, zepchnąć mnie i deptać po mnie za to, żeś mnie miłością swoją ogarnął. O! przysięgłabym na to, że to oni zapłacili tego człowieka. Wkręcił się tu pod pozorem, że odwiedza siostrę, że chce mi się przedstawić. Potem, gdy przez wzgląd na Rózię, pozwoliłam mu wejść, zaczął się odgrażać, domagać zapłaty. Nie rozumiałam nic z tego, nie mogłam nawet zoryentować się, co to wszystko znaczy, gdy właśnie wszedłeś. Dopiero, gdy zaczął tak bezczelnie opowiadać kłamstwa, domyśliłam się, że przyszedł tu umyślnie, aby czychać na twoje przybycie i zrobić to, co zrobił. To pomysł godny Wurma i hrabianki!

— I to być może! — szepnął książę. Nie ma nic tak szatańskiego, czegoby tych dwoje dokonać nie zdołało. Być może! A jednak?... Boże mój, jeżeli to prawda, co mi Buchenau mówił, jeżeli to prawda, co ten włóczęga powtarzał, jeżeli tylko w tem prawdy połowa, prawdy część mała, to — zamiast tej wielkiej miłości, którą cię ogarniam, miałbym dla ciebie również wielką pogardę, którąbym cię zdeptał bardziej, niż cię miłością wyniosłem.

— Ferdynandzie! czyż jeszcze wątpisz?

— Nie wiem, nic nie wiem. Głowa mi pęka, dławi mnie każde słowo, serce szarpie się — nerwy się targają. Bądź zdrowa! Jeżeli w tem tylko cień prawdy, już mnie nigdy nie będziesz widziała.

— Ferdynandzie! czekaj! słuchaj!

Nie czekał już i nie słuchał tym razem, lecz wybiegł wzburzony, a ona biegła za nim ku drzwiom i padła u progu omdlała.

Uwolniony.

Nazajutrz, po bytności księżniczki Elzy w zakładzie dra Katzenbergera, już jakoś nad wieczorem, przybył tam wóz do transportowania obłąkanych, z dwoma posługaczami. Były to chłopy sążniste, silne, o spojrzeniu rubasznem i ponurem.

Walter wpatrywał się w obraz, jak zwykle i malował na przemian — a Krystyn rozmawiał z nim po swojemu, uspakajał, rozweselał. Drzwi się rozwarły, wszedł dr. Katzenberger z owymi posługaczami.

— Mój Krystynie, rzekł doktór, musimy pożegnać naszego malarza. Otrzymałem rozkaz, aby go wydać tym dozorcom.

Krystyn osłupiał. Był wprawdzie pewien, że marszałek nie zostawi tu Waltera, ale się nie spodziewał, że go już tak prędko zabiorą. Ścisnęło mu się serce i z przerażeniem spoglądał to na Waltera, to na przybyłych.

— Mamy rozkaz zabrać chorego natychmiast, rzekł jeden z przybyłych. Czekać nie ma czego.

To rzekłszy, zbliżył się do Waltera i ujął go silnie pod ramię. Walter wyrwał się, cofnął i spytał niespokojnie:

— Czego chcą ci ludzie?

— Pojedziesz z nami — rzekł rubasznie jeden z przybyłych.

— Nie pojadę z nikim.

— Ej, co mi tam takie gadanie. My cię nie pytamy o to, czy ty chcesz, czy nie chcesz. Musisz i tyle.

Zbliżyli się obaj i chcieli pochwycić Waltera, ale Krystyn zastąpił im drogę i rzekł stanowczo:

— Dajcie no spokój; pomału. Na co gwałtu. Trzeba mieć Boga w sercu. Delikatnie z nim.

— Ha! ha! — zaśmiali się obaj przybysze — to mi dopiero ceremoniant. My nie nauczeni takich ceregieli. Raz, dwa i po sprawie. Dalejże!

— Poczekajcie przecie, skoro was proszę — mówił Krystyn — toćże po koleżeńsku trzeba, jak swój dla swego. Cóż to znowu? No. Ja wam pomogę, po swojemu, bez gwałtu. A i dla was lepiej, że nie będziecie mieli kłopotu. Pocóż wam się wysilać!

— A, no to róbcież tak, żeby szedł.

Krystyn przystąpił do Waltera, ujął go łagodnie za ramię i przemówił z dobrocią:

— Paniczu, słuchajże paniczu. Jechać ci trzeba, to ci nie zaszkodzi. Nic ci złego nie będzie. Trzeba jechać po dobroci, bo tak lepiej. Jakbyś po dobroci nie chciał, toby wzięli gwałtem. A na co? po co?

— Dobrze, dobrze — szeptał Walter, ale z Krystynem. Pojadę z Krystynem, Krystyn ze mną.

Krystynowi wpadło na myśl, że jakby pojechał z Walterem, to możeby go jakim sposobem po drodze uwolnić zdołał. Zwrócił się więc do doktora i udając obojętność, rzekł:

— Jak pan doktór każe? możeby to i dobrze było, gdybym pojechał. Obeszłoby się bez gwałtów. Przecieżby to może i szkodziło nam, gdyby się rozniosło po świecie, że się tu z chorymi wyprawia gwałty. Nawet pan marszałek będzie kontent i podziękuje za to, jeżeli się wszystko zrobi po cichu.

— Zgadzam się na to — odpowiedział doktór.

— Ba, ale my nie możemy was zabrać ze sobą, chyba do połowy drogi. Jeżeli na to zgoda to dobrze. Pamiętajcie, że w pół drogi was wysadzimy, a dalej pojedziemy sami.

— Niech i tak będzie, byle stąd wyjechać spokojnie — odpowiedział Krystyn.

— Zgoda. Dalej w drogę.

Walter wyszedł z Krystynem. Wsiedli do ponurego wozu — i pojechali.

W trzy godziny potem, gdy już gęsty mrok zapadł, zatrzymali się we wsi przed gospodą, na popas.

Dwaj dozorcy, którzy z Walterem i Krystynem siedzieli we wozie, wysiedli, a trzeci dozorca, siedzący z furmanem na koźle, został na straży.

— No, Krystynie, wysiadajcie z nami. Dalej już nie pojedziecie — rzekł jeden z nich.

— A to czemu?

— Czemu? — bo taki nakaz.

— A cóż to komu może szkodzić, gdybym chorego odwiózł na miejsce?

— Gadanie! co może szkodzić? a cóż nam do tego, czy komu szkodzi, czy nie szkodzi. Kazano i tyle. Chodźcie. Ot, wolicie się dobrze pokrzepić, bo wam z powrotem daleko.

Krystyn poszedł z nimi do gospody, niespokojny o Waltera. Wciąż myślał, jakby to z popasu skorzystać i uwolnić biedaka. Gdy się za stołem rozsiedli, zaczął przypijać do owych dozorców, a gdy się rozgadali na dobre i jakoś życzliwiej już na niego spoglądali, ozwał się, niby od niechcenia:

— Skoro już tak uczciwie gadacie, to wam coś powiem, ale miarkujcie, cobyście mnie nie zdradzili.

— Cóż takiego? — zapytali obaj naraz i przysunęli się do Krystyna.

— Mnie was żal.

— Żal? ejże, czegóż? Co wam się przyśniło?

— Nie przyśniło, nie, ale prawda. Mnie was bardzo żal.

— Gadajcież!

— Widzicie, ten malarz ściągnie na was nieszczęście.

— Ale! ej, gadanie!

— Nie gadanie, nie. Żebyście wy tylko wiedzieli, kto za nim stoi, kto się nim opiekuje! Jak się dowiedzą, że go zabrano od doktora przemocą, powstanie gwałt wielki i wielcy panowie ujmą się, a będą się mścili na wszystkich.

— A niechby! to cóż nam? My robimy, co nam kazano.

— Ba! a nie wiecie to, że na biednym i małym wszystko się skrupi. Żeby też nie skrupiło się na was.

— Dobre macie serce, że się tak o nas lękacie, ale my się nie lękamy niczego.

— A nie lepiej to, żebyście co zarobili na tem?

— Ejże! my tam nie tacy. Ani się nie boimy, ani też szacherki nie chcemy. Jak służba, to służba.

Daremnie wysilał się Krystyn i z różnych beczek zaczynał; dozorcy byli nie ugięci. Już tracił nadzieję, już smutnie głowę zwiesił. Że był człek uczciwy, a więc i nabożny, to już opiece boskiej jeno polecał biednego Waltera. Nagle rozległ się turkot powozu. Powóz zatrzymał się przed gospodą. Krystyn wyjrzał przez okno i poznał pannę Warburg. Domyślił się, że przyjechała dla uwolnienia Waltera, więc ogarnęła go obawa, żeby się nie zdradziła przez jakąś nieostrożność.

— Jakaś wielka pani! — rzekł do towarzyszy. Dowiem się dokąd jedzie. Możeby mnie z sobą zabrała. We wsi koni nie dostanę, a piechotą iść nie bardzo przyjemnie.

To rzekłszy wyszedł z izby i zbliżając się do Gertrudy, dawał jej znaki, żeby się nic nie odzywała. Gdy stanął przy powozie, szepnął jej, żeby sobie kazała dać osobną izbę i przysłała po niego, jako po tego, co ją prosił o podwiezienie. Potem ukłoniwszy się nisko, wrócił do towarzyszy.

— No i cóż ta wielka pani? hę?

— Ha, powiedziała ni tak, ni owak. Kazała mi czekać, aż się namyśli i rozpyta o mnie gospodarza.

— Jużcić; jakżeby nieznanego człeka brać miała. A no trąćmy się jeszcze. Niech wam nie będzie markotno, że was dalej wziąć nie możemy. Daj boże zdrowie!

— Wy swoje, a ja swoje. Ja wam raz jeszcze mówię, że mi was żal.

— Niech tam, co tam! At trąćmy się.

Popijali. Za chwilę wszedł gospodarz i zawołał głośno:

— Ta pani chce widzieć tego, co ją prosił, by go wzięła z sobą. Idźcie który.

Krystyn wszedł nie bardzo się kwapiąc, jakby się nie wiele o to troszczył; towarzysze też nie podejrzywali niczego. Gdy był już sam na sam z Gertrudą, opowiedział o wszystkiem, jak się zabrał z dozorcami, myśląc, że po drodze nasunie się jaka sposobność uwolnienia Waltera, jak dozorców chciał przekupić, groźbami skłonić do puszczenia chorego, jak się uparli i jak niczego dokonać z nimi nie można. Gertruda opowiedziała znowu, jak przybyła do zakładu Katzenbergera, by Waltera zabrać; jak się przeraziła, gdy jej powiedziano, że przed godziną go wywieziono. Na szczęście wskazano jej kierunek, w którym wóz z Walterem odjechał, więc pędziła wyciągniętym kłusem. Wybrała się do Katzenbergera sama, aby jaknajmniej zwrócić uwagi, a liczyła na to, że nie będzie potrzebowała niczyjej pomocy.

— Doktór Katzenberger byłby mi oddał Waltera, bo miałam dla niego umówione za to pieniądze, a spodziewałam się, że Krystyn pojedzie z nami. Jedna godzina! Mój Boże! co to znaczy godzina w życiu ludzkiem? Teraz co czynić? Skoro nie chcą się dać przekupić, to możeby Waltera odbić? co?

— Ba! nie damy rady. Ich czterech tęgich chłopów, a nas ile? Stangret i ja. Nie damy rady. Ale zrobi się to inaczej.

Twarz Krystyna nabrała wyrazu jakiejś walki wewnętrznej. Coś się w nim kłóciło, czy układało. Zamilkł, myślał, tarł czoło, potem zaczął szeptać, rozkładał rękoma, jakby chciał przekonywać nietylko słowem, ale i giestem.

Gertruda słuchała go z zajęciem, potem z rozrzewnieniem, aż ze łzami w oczach uściskała jego rękę i rzekła.

— Zacny człowieku! Toż to przecie poświęcenie się ogromne.

— Ale, cóż tam. Nic mi nie zrobią, a panicz będzie wolny. A to dopiero wścieknie się marszałek, gdy się dowie! Niech się pani pomodli, aby się udało.

Gertruda jeszcze raz uścisnęła mu rękę.

Krystyn wrócił do szynkowni, ale już owych dozorców nie było. Za stołem siedział trzeci z furmanem, a tamci tymczasem pilnowali wozu. Krystyn wziął płaszcz i wyszedł. Ciemno już było

pochmurno, więc i gwiazdy nie świeciły. Dwaj dozorcy stali przy koniach i podochoceni gwarzyli wesoło.

— Hej, bracia — zawołał Krystyn. Już jadę z ową panią. Pozwólcież mi pożegnać się z malarzem.

— A żegnajcie się, ile wam się podoba, to nam nic nie szkodzi.

Krystyn wszedł do wozu.

Tymczasem i Gertruda do powozu wsiadła i zawołała głośno:

— Gdzież ten człowiek, co prosił by go zabrać?

— Hej, Krystyn, słyszycie, pani się o was pyta — zawołał jeden z dozorców i pięścią we wóz uderzył. Odjedzie was, wyłaźcie.

Jakoż za chwilę wyszedł z wozu człowiek otulony płaszczem Krystyna, kapelusz miał nasunięty na oczy. Szedł krokiem chwiejnym, nieśmiało.

— Patrzcie no, rzekł jeden z dozorców, a toć on beczy za tym waryatem, jakby ojciec za synem. Ledwie idzie z żalu.

— Przyprowadź go prędko, rzekła Gertruda do stangreta, ja trzymam konie.

Stangret zeskoczył z kozła, pociągnął z sobą otuloną postać, umieścił w siedzeniu obok Gertrudy, wskoczył na kozioł, zaciął konie i ruszył z miejsca wyciągniętym kłusem.

— A to ci go honoruje, obok siebie posadziła.

— Ot baba! przez ciekawość. Pewnie go się będzie o nas dopytywała i o naszego chorego. Ale czas jechać!

Jużcić, cóżby nie. Późno!

Trzeci dozorca i furman wrócili szynkowni wszyscy usiedli na swoich miejscach.

— Zapalcie no latarnię we wozie, ciemno strasznie.

Jeden z towarzyszy zaświecił, latarnia oblała światłem wnętrze wozu. Chory siedział w kącie tak zakryty, że go widać nie było.

— Może on się udusił z żalu za swoim Krystynem — rzekł jeden z dozorców.

— A może. Ej, co tam, jazda!

Dali znak, wóz ruszył z miejsca. Jadą.

Chory leżał jak kamień.

— Cóż u dyabła? Dusza z niego wylazła? — zawołał, śmiejąc się, jeden z towarzyszy i ściągnął płaszcz z chorego.

— O dla Boga!

— Hej! stój! Niech stanie. Nawrócić, gonić.

— A ty złodzieju!

— Ty pokrako!

— I czemuż się tak gniewacie przyjaciele? — rzekł spokojnie Krystyn. Gonić nie ma po co, bo nie dogonisz. Konie mają lepsze, a odjechali wcześniej. Zdajcie się już na wolę boską. Powiecie, żeście przywieźli tego, kogo wam dali. Niech wam się zdaje, że mnie wam oddali jako chorego. A bijatyce dajcie spokój, bo jak mnie pobitego przywieziecie, to będzie gorzej dla was, bo się niczem wykręcić nie będziecie mogli.

— A bodaj was pokręciło! To smyk. Co tu robić?

— Cóż? udajmy, że o niczem nie wiemy i tyle.

— Ale! niby uwierzą!

— Jakby co złego było dla was, macie mnie w ręce, ja wam ręczę, że was nagroda nie minie.

— Chyba! Niech i tak. A cóż? Nie ma co? Niech jadą. A to psiakrew mądry smyk!

Na tułactwie.

Na piaszczystem wybrzeżu morskiem pusto dokoła, tylko niekiedy ptak od strony lądu nadleci, zobaczy morze, przelęknie się, jeszcze silniej rozepnie skrzydła, by wrócić skąd przybył. Daleko szarzeje wśród lichej drzewiny uboga wioska rybacka.

Fale morskie zapędzają się na piaszczyste ławy wybrzeża, spłukują je, rozrywają i uciekają z tą marną zdobyczą, a w zamian rzucają na ląd zbrukane piany, niekiedy muszlę rozbitą, lub zbłąkane żyjątko.

Ponure chmury snują się po niebie żałobną gromadą i dokoła tak jakoś łzawo, tak smętnie, jakby to było cmentarzysko nędzarzy.

Na wyciągniętej łodzi, do góry dnem wywróconej, siedzi Hania i patrzy w dal morską, w kłębujące się fale, bez ruchu, posągowa, kamienna. Widzi to miejsce na morzu, na którem statek się rozbił, w którem straciła Ryszarda. Sięga myślą i żałobą swojego serca aż do dna morza, gdzie jej Ryszard spoczął na wieki. Nie dawno tak była szczęśliwą!

Z jakąż to radością siadali oboje na statek, który ich miał zawieść do szczęścia, a dał Ryszardowi śmierć, jej wieczną żałobę Dlaczego nie zginęła z nim razem? Biedna Hania. Bywają nieszczęścia groźniejsze od śmierci; dla niej śmierć byłaby szczęściem, a jednak żyć musi. Wola Boża! Od dziecka przywykła ulegać jej, wielbić ją, więc Bogu w ofierze składa cierpienia swoje, żałobę swoją. Modlit a dźwiga ze wszelkich upadków ducha, dźwiga i z rozpaczy; to też modli się nieszczęśliwa nie słowem, lecz łzami, modli się duszą całą.



Na wyciągniętej łodzi, do góry dnem wywróconej, siedzi Hania i patrzy w dal morską.

Zbliżał się powoli wysoki, smukły, młody człowiek, stanął z boku i patrzył na zatopioną w modlitwie, a patrzył tak miłościwie, tak rzewnie, jakby i z jego piersi dobywała się modlitwa, ale nie do Boga, lecz do niej.

Wreszcie Hania podniosła się z łodzi, spojrzała jeszcze ku morzu i zwróciła się ku wiosce. Młody człowiek powitał ją ukłonem.

— A, to wy panie Jakóbie.

— Tak panno Haniu. Byłem niespokojny, czy się pannie Hani nie stało co złego. Rodzice także się niepokoją.

— Poczciwi ludzie, niech Bóg wynagrodzi to zacne serce wasze dla mnie nieszczęśliwej.

— Panno Haniu! Nie trzeba wciąż płakać. Wola boska. Dotknęło cię nieszczęście, ale Bóg pocieszy. Nie gardź mojem sercem, nie gardź moją miłością. Jabym gwiazdy niebu wyrwał, żeby ci je ścielić pod nogi. Jabym wyłupił wszystkie skały koralowe, żeby ci z nich pałac zbudować. Ot, ze mnie tylko prosty rybak, ale i królewskie serce nie może bardziej kochać, niż ja kocham ciebie. Zostań z nami, bądź moją! Klnę się na Boga, że przy mnie nie doznasz biedy. Nie braknie nam chleba, nie braknie ci wygody w życiu. Ja mam ręce zdrowe, a na rybactwie się znam, o znam jak żaden inny, niech cała wyspa poświadczy. No, usłuchaj mnie panno Haniu.

— Czemu mnie wciąż nazywasz panną Hanią Jakóbie, skoro wiesz, że miałam męża, że go mam, bo chociaż jest tam, na dnie morza, dla mnie on jakby żywy, a żyje w mojem sercu i wiecznie tam żyć będzie.

— Grzech to, grzech wielki, że idziesz na przekór woli boskiej. Co Bóg zabrał, tego już z ręki boskiej wydzierać nie wolno. Tyś dla mnie panną Hanią, bo ja ciebie tak kocham, że aż się boję, żebym tą miłością nie bluźnił. Ja na ciebie Haniu patrzę, jak na świętość! Tyś mi taka czysta, taka jasna, taka niebiańska, jak Przenajświętsza Królowa morza. Sam Bóg chciał, żebyś moją była. Jak wasza łódź zatonęła, ja wtedy puściłem się wpław od brzegu, żeby kogo uratować i kiedym rozbijał piersią fale, nagle z pod wody prąd wyrzucił ciebie, tak, żeś mi w ręce sama wpadła. Porwałem cię i za łaską Boską dopłynąłem z tobą do tego brzegu. Łodzie popłynęły dalej do stałego lądu, a do naszej wysepki nikt się nie kwapił. No widzisz, że cię mam z woli Bożej.

— Mój poczciwy Jakóbie! Cenię ja bardzo twoje serce zacne i jeżeli potrzebne ci serce siostry, to je u mnie znajdziesz, ale przysięgi nie złamię, a przysięgłam dochować wiary małżeńskiej nawet poza grobem. Nie chcę dłużej wyrządzać ci przykrości, dlatego opuszczę was i pójdę w świat szukać chleba i spokoju. A jeżeli mnie prawdziwie kochasz Jakóbie, to bądź mi tylko bratem i jako brat dobry nie powtarzaj mi już tego, co mi przykrość sprawia.

Jakób pochylił głowę, nic nie odpowiedział, ale na twarzy jego rozlał się taki wyraz wewnętrznej walki, że ktoby mu się przyjrzał w tej chwili, niebyłby wierzył, że to tensam, co przed chwilą tak miłościwie przemawiał. Twarz mu się zasępiła, w oczach kipiała gorączka uczuć tak płomiennych, jak gdyby chciały ogarniać wszystko zniszczeniem pożaru. Szedł obok Hani i nie mówił nic, jeno niekiedy skrzywiły mu się wargi, jakby połamane strasznym bólem, kurczyły mu się pięści, nogi pod nim chwiały i oddech targał mu się w piersi.

Już przyszli do wsi. Pośrodku było domostwo porządniejsze i bogatsze od innych; znać tu było dostatek, chociaż skromny, ot zwyczajnie rybacki na małej wysepce.

Weszli do izby. Już było zastawione do obiadu. Stary rybak Tomasz, ojciec Jakóba siedział już za stołem, a jego żona rozdzielała strawę na skromnych talerzach.

— W sam czas, bośmy już głodni — rzekł Tomasz.

— Ej, znowu Hania zapłakana, znowu smutna. Uspokójże się moje dziecko, uspokój. Mamy jedno dziecko, to Jakóba, to w sercu miejsca dość i dla drugiego, jeśli niem być zechcesz.

Zasiedli do stołu, Tomaszowa przygadywała serdecznie, Tomasz wtórował żonie i tak jakoś skończył się skromny obiad.

Gdy wstali od stołu, Hania uściskała poczciwych rybaków, ze łzami w oczach dziękowała im za ocalenie życia, za przytułek, za rodzicielskie serce, ale stanowczo oświadczyła, że ich porzucić musi, bo miłości do Ryszarda nie pozbędzie się nigdy i niczyją żoną nigdy już nie zostanie. Zasmucili się Tomaszowie, pokiwali głowami.

— Ha, we wszystkiem wola Boża, — rzekł Tomasz.

— Ciężko nam będzie rozstać się z tobą — odezwała się Tomaszowa.

— A ciebie panie Jakóbie poproszę jeszcze o ostatnią braterską przysługę, abyś mnie jutro dowiózł na łodzi do stałego lądu, naprzeciw do miasteczka.

To rzekłszy, Hania uściskała raz jeszcze poczciwych rybaków. C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Japończycy zdobywają pagodę w Lin-chin-pu gdzie się obwarowali Rosyanie.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Zdobycie Portu Artura przez Japończyków to fakt, rzucający zupełnie nowe i jaskrawe oświetlenie na wojnę rosyjsko-japońską w Azyi wschodniej, a zwłaszcza na wydatność operacyj japońskich i powodzenie oręża mikada.

Wszystko to, co się o Japończykach czytało i słyszało, znalazło w tym fakcie swój wyraz. Nie tak to jednak łatwo nam, dzieciom zachodu, zdać sobie sprawę z tego olbrzymiego przewrotu, jaki się w tak krótkim czasie dokonał w Japonii. Sami Japończycy przyznają, że dokonali niesłychanego dzieła. Tem dziełem jest ów skok, jakiego dokonali Japończycy, chcąc stanąć na równi z nowożytnymi państwami, zwłaszcza pod względem wojskowym. Że ten skok wykonali z niezwykłą w dziejach brawurą i śmiałością — tego właśnie dowodzi owo wzięcie twierdzy, jednej z najpotężniej obwarowanych, uważanej przez całą Rosyę za nie do wzięcia. Ów skok od jednej kultury do drugiej mamy uwidoczniony na rycinie, przedstawiającej właśnie jak:

Guślarz japoński odbywa ceremonię zażegnywania klęski wobec marszałka Oyamy i jego sztabu. Niedawno widzieliśmy rycinę, przedstawiającą mszę polową w obozie rosyjskim. Dzisiejsza rycina przedstawia coś podobnego w obozie japońskim.

Naprzód krajobraz jest bardzo piękny. W dali wieża świątyni Foku-Dżodżu, ułożona z filigranowych deseczek, wyrzeźbionych kunsztownie. Drewnianą jest ona dlatego, ponieważ w Azyi Wschodniej zdarzają się częste trzęsienia ziemi, które budynkom murowanym wyrządzają znaczne szkody. Bliżej znajdują się budynki niskie, służące do przechowywania broni i amunicyi. Naokoło, bardzo bujnie rozwinięte rośliny, krzewy i kwiaty. Więc są tam i owe tak często opiewane przez poetów japońskich krzewy kwitnących wisien i święte agawy i malwy purpurowe.

Przed stolikiem, nakrytym prostą, lnianą makatą, stoi guślarz japoński i odprawia ceremonię. Na stoliku leżą trzy drewniane pudełka, pręty trzcinowe i świeca.

Guślarz, przybrany w narodowy strój japoński, trzyma w ręku naczynie liturgiczne i powiewając chustą, zażegnywa klęskę.

Na krzesłach, naprzeciw guślarza, siedzi marszałek wojsk japońskich, głośny Oyama, wraz ze swoim sztabem. Młodzi oficerowie stoją szeregiem poza plecyma marszałka i jego sztabu. Na ich twarzach nie widać żadnego religijnego nastroju. Bo też i zarzucają Japończykom obojętność religijną. To jednak zarzut jest płonny. Są oni religijni i głęboko — tylko ich religia jest więcej rozumowa, nie zaś uczuciowa. Wszyscy w czapkach, wcale nie tak, jak Rosyanie, których oficerowie stali w obliczu swego popa bez czapek, w nabożnem skupieniu.

Japończycy są wobec guślarza obojętni, uważają to, co on czyni, za formę, jednak za formę potrzebną, którą szanować należy.

Oyama siedzi skupiony, jak gdyby obmyślał nowy zwrot strategiczny. Jego towarzysze przyszli tu tylko dla obowiązku i dla tych samych, co i marszałek powodów. Pośród oficerów widzimy także dwóch korespondentów zagranicznych, przybranych po cywilnemu, przybyłych tu z ciekawości i z obowiązku sprawozdawców.

Japończycy zdobywają pagodę w Lin-chin-pu, gdzie się obwarowali Rosyanie. Pagoda ta jest zbudowana w stylu wschodnim, co poznać po jej bramie, sklepionej na sposób chiński i po ozdobach, którymi są zaopatrzone zewnętrzne ściany, gzymsy i dachy.

Okapy tych dachów nie są, jak u nas, proste, lecz przedstawiają linię krzywą, właściwą budynkom wschodnim. Przed bramami świątyni sterczy szereg ozdobnych masztów, służących do zawieszania sztandarów i lampionów, ozdabiających te słupy w dnie uroczystości i iluminacyi.

Pagoda ta była jakiś czas w ręku Rosyan, potem dostała się w ręce Japończyków. Walki, jakie o nią staczano, były ciężkie. Widać też ich ślady na rycinie.

Część budynku, przylegającego do świątyni, stoi w płomieniach. Inne domy mają podziurawione od pocisków i kul dachy, tak, że z pod wyszarpanego pokrycia widać rusztowanie samego dachu, krokwie i płatwie. Również uszkodzono i kolumny rzeźbione. I dach podwójny nad bramą do świątyni zniszczyły kule i granaty. A nawet ognisty pocisk zapalił go z boku.

Na podworcu pagody wre walka zacięta. Właśnie Rosyanie, poniósłszy krwawą porażkę, uciekają z wozami, napełnionymi amunicyą. Uciekających doganiają Japończycy i sprawiają straszną



Z wojny ros:-jap.: Kozak doński strzegący wyjścia do tunelu kolei około jeziora bajkalskiego.



Z wojny ros.-jap.: Guślarz japoński odbywa ceremonię zażegnywania klęski wobec marszałka Ojamy i jego sztabu.

rzeź. Już konie wystrzelano u wozów, stanął cały transport, poza wozami ukryli się Japończycy i prażą uciekających morderczym ogniem. Jedni wyskakują z poza ścian świątyni i lecą wprost na uciekających. Niektórzy z nich, trafieni postrzałami, padają, nim zdołali wystrzelić.

Inni, pogubiwszy w pościgu nakrycia głowy, biegną na oślep przed siebie, z twarzą wyrażającą najwyższe podniecenie bojowe i zapalczywość.

Owdzie ukrył się żołnierz za zabitym koniem, uważając go niby wał ochronny. A z boku pochyla się Chińczyk, by się skryć za poległym żołnierzem. Tuż za nim biegnie oficer japoński, bez nakrycia głowy — w prawicy szabla, lewica ściska kurczowo rewolwer. Wszystko pędzi w galopie, na oślep, łamie, druzgoce i zwycięża.

Zwycięstwo japońskie pod Lin-chin-pu przypadło na koniec października. Było ono jedną z efektowniejszych kart wojny, jakkolwiek nie było ważnem ani decydującem.

I dziś toczą się w tem samem miejscu walki. Jest to okolica rzeki Sza, widownia bezustannych ostrzeliwań i pojedynków artyleryi.

Wszystko to jednak nie zmienia głównego położenia obu wojsk i owego martwego stanu, w jakim się pogrążyły obie nieprzyjacielskie armie. Mimo to jednak owe pojedyncze starcia odbywają się, jak to rycina wskazuje, z największą zaciekłością i wysiłkiem.

Czuć, że Japończyk, zarówno jak i Rosyanin, prowadzą, nawet w tych najmniejszych utarczkach, walkę na śmierć i życie. Każdy posterunek, jaki im wyznaczono, traktują jako rzecz niesłychanej wagi; rozkaz każdy wypełniają święcie i z największem poświęceniem. I ten to zapał, połączony z matematyczną ścisłością obliczeń, tworzy owe wyjątkowe skutki japońskich ataków, obrony i walki. To połączenie harmonijne rozumu z uczuciem, jest najwyższą pochwałą Japończyka.

Kozak doński, strzegący wyjścia z tunelu kolei, wiodącej około jeziora Bajkalskiego. Kolej bajkalska przyczyniła Rosyanom wiele kłopotu. Wogóle wszystkie koleje, jakie Rosya zbudowała i bnduje w Azyi, przedstawiają z jednej strony wszystkie wady rosyjskiej administracyi; są bardzo kosztowne i pochłaniają ogromne kapitały; podczas wojny, zwłaszcza dzisiejszej, wymagają osobnego kontyngensu wojsk do strzeżenia toru, napadanego i burzonego przez wrogów, ale, poza tem wszystkiem, są one temi niepozornemi ścieżkami, które Rosyi miały poddać Azyę, zwyciężyć. poskromić i rzucić carowi pod stopy.

Rycina nasza przedstawia pociąg rosyjski opancerzony, wyjeżdżający z tunelu. Pociąg jest pełen żołnierzy, owych, jak słyszeliśmy, przemrożonych, zgłodniałych i ulegających częstemu obłędowi. O wielu transportach czytaliśmy, że były pozbawione obuwia. A rzecz to wielkiej wagi, bowiem trzeba go było nie mniej, ni więcej, tylko pięć kroć sto tysięcy par. Żołnierze, jadący tym pociągiem, zaledwie w cząstce będą zdolni do boju, zdziesiątkują ich już same trudy wojenne, zanim przybędą na miejsce.

Tunel jest wykuty w kamiennem środowisku, co oczywiście było nielada zadaniem do spełnienia; sklepienie składa się z jednego tylko pokładu kamieni, co, wobec naporu spiętrzonych głazów, musi się wydawać tylko tymczasową robotą. Ale niedarmo słychać ze wszystkich stron, że Rosya była do wojny nieprzygotowaną. O budowach trwałych i pewnych nie mogło być mowy. O kolejach rosyjsko-azyatyckich rozlegały się od dawna rozmaite wieści.

Mówiono, że mają dalekie polityczne cele — co teraz, podczas wojny, wszystko się naraz odkryło. Mówiono, że przy ich budowie dopuszczano się niemałych nadużyć, co teraz także wyszło na jaw aż nadto wybitnie. Kłopoty z kolejami ukazały się w najjaskrawszem świetle podczas dzisiejszej wojny.

Kozak doński, stojący u wyjścia tunelu, to nieznany dla nas przykład niebezpieczeństwa, w jakiem się koleje rosyjskie w Azyi znajdują.

Musiano istotnie odkomenderować kilkadziesiąt tysięcy tych kozaków, ażeby Rosyanom, jadącym tą koleją, użyczyć jakiego takiego bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo zresztą i tak słabe, ponieważ Japończycy napadali skutecznie straże kolejowe i atakowali z powodzeniem pociągi. Nadto wyręczali ich w tej służbie i Chunchuzi, którzy organizowali się w całe bandy, przeznaczone li tylko do burzenia dróg kolejowych. Uzbrojeni w kilofy, wyłamywali progi, położone pod szynami i wyrzucali w ten sposób pociągi z toru. Ukryci w gąszczu, atakowali następnie żołnierzy podczas katastrofy.

Te katastrofy kolejowe to niejako memento



Z wojny ros.-jap.: Batalion strzelców syberyjskich spędzający noc pod gołem niebem w wąwozach mandżurskich.



Z wojny ros.-jap.: Odpoczynek wojsk rosyjskich podczas odwrotu z Jantai do Mukdenu.

ostrzegające przed katastrofą jeszcze większą, jaką są dzisiejsze porażki i klęski Rosyan w Azyi, sypiące się na potężne jeszcze wczoraj mocarstwo bez przerwy.

Upadek Portu Artura wieńczy je wszystkie niezwykle groźnie. Jeśli pozostaną rosyjskie szyny i tunele i jeśli nimi będą Rosyanie jeździć i w przyszłości, to w każdym razie nie będzie to już owa Rosya idąca na łowy, po zdobycz — lecz Rosya upokorzona, Rosya po nauczce i po szkodzie — rozpoczynająca zupełnie nowy żywot w Azyi, a co za tem idzie i w Europie.

Kompania japońska, przechodząc przez rzekę, pije wodę czapkami wobec ognia rosyjskiego. Na wojnie, jak na wojnie — mówi stare francuskie przysłowie. A nasze staropolskie jest wyraźniejsze: „Idzie żołnierz borem, lasem, przymierając z głodu czasem".

Żołnierz przymiera nie tylko z głodu, lecz i pragnienia. Nie trzeba na to prawdziwej wojny, wystarczą zwykłe nasze maleńkie manewry. Dyspozycye wydane, droga wytknięta, kompania w drogę! A ta droga nie musi iść koło śpichlerza i źródła, koło kramu i sklepu. Czasem pustką, wydmą, pagórami, gdzie przez cały dzionek boży nie dostaniesz ani źdźiebełka. Wóz markietanów umyślnie czasem zostanie w tyle. A tu marsz żołnierza wymęczy, unuży, spiecze, słońce spali i wyssie wszystką wilgotność z ciała — cóż wtedy ma robić biedny żołnierz. Skąd wziąć napoju, którego bardziej potrzeba, niż chleba? Skądbądź — z kałuży leśnej, z kolei pozostałej po wozie, w której jeszcze nie zdołała wyschnąć reszta deszczowej wody. Nie baczy, co pije, z czem pije — ot, byle usta odwilżyć i orzeźwić język, co już do podniebienia przysycha.

I na naszej rycinie to samo znużenie, to samo pragnienie, ta sama męka. Ale to prawdziwa wojna i prawdziwe rany. Tu pijącego z rzeki, często trafi kulka, a żołnierz wpada do rzeki. Ta rzeka, to Szaho.

Pagórek, który się piętrzy poza nią, trzeba wziąć szturmem, a rzekę przejść w bród. Nie tak to łatwo, zwłaszcza, że pagórek broniony przez Rosyan z wielką zaciętością i obwarowany nadzwyczaj starannie.

Za każdym wałem, w każdym rowie siedzi ukryta rota Moskali i piekielnym ogniem przyjmuje atakujących. Padają całe kompanie, ścięte jak kosą, po każdej salwie. Żołnierze jednak nie dbają na straty, rota za rotą leci do szturmu i pada, aż samo przerażenie wytrąci wreszcie obrońcy karabin z ręki, aż nabojów braknie, aż ręka odmówi posłuszeństwa. Na rycinie widzimy, jaka jest potęga pragnienia. Nawet się przed kulami nikt nie cofnie, byle się napoić.

Zapomina się o celu, o walce — woda jest głównym celem i pożądaniem. Czem kto może, tem pije. Oto ten na przedzie czerpie wodę wprost z rzeki dłonią, inny zdejmuje czapkę i pije z czapki, inny wreszcie, niby zwierzę spragnione, poprostu głowę pochyla i wprost ustami łyka wodę pożądliwie. Wśród tej uczty prawdziwej, jaką jest dla spragnionego ożywczy płyn, padają dziesiątkami. Widzimy między nimi i rannych. Z głową obwiązaną opatrunkiem spieszą za innymi, niezrażeni ani śmiercią, ani krwi upływem, ani grozą coraz to nowych trupów. Ten upór, to męstwo, wrodzone duszy Japończyka, odniosły właśnie świeży, wielki tryumf pod Portem Artura. Odtąd, jeśli Japonia myśl jakąś poweźmie i plan jakiś zamierzy — to, choćby mówiono o nim: niemożliwy do spełnienia — trzeba przypuszczać, że Japonii udać [illegible] się może.

Odpoczynek wojsk rosyjskich podczas odwrotu z Jantai do Mukdenu. Dziś pod Mukdenem zaczynają się wielkie i stanowcze zapasy

Port Artura wzięty — wojska japońskie, uwięzione pod twierdzą, są już dziś wolne i pójdą jako posiłki nad rzekę Sza. A nad rzeką Sza rozpoczyna się właśnie wielka kanonada, przy czem z wszystkiego wynika, że Japończycy rozpoczęli już ogólny walny atak na armię jenerała Kuropatkina. Dotąd wiadomości z pola walki nie przedstawiają wielkiego interesu. Faktem jest tylko, że Japończycy atakują Kuropatkina, mianowicie jego pozycye koło Sinszinpu z wielką gwałtownością. Bateryе obu armii zwalczają się i ostrzeliwają ze skutkiem.

Straty dotąd nie przedstawiają się wielkie. Kilkakrotnie usiłowali też Japończycy atakować i centrum pozycyi rosyjskich. Posiłki dochodzą do obu stron w znacznej liczbie.

Rosyanie się chwalą, że w ciągu stycznia przybywa im pomoc w ilości dwustu tysięcy żołnierza.

Ta okolica Mukdenu i rzeki Szaho nie jest dla Rosyan pełną pięknych wspomnień. Wszakże ona widziała już odwrót wojsk rosyjskich po klęsce pod Jantai.

Widzimy ten odwrót na rycinie. Długim i szerokim gościńcem, wiodącym obok szerokich szop, ciągnie armia rosyjska z wozami, pełnymi amunicyi i obładowanymi przez rannych żołnierzy w wielkiej bitwie pod Jantai. Po lewej stronie ryciny piętrzą się stosy faszyn, t. j. pęków pręcia, służących do umocnienia wałów, jakie sypią inżynierowie około obozu lub przed postępującymi naprzód kolumnami dla ochrony przed kulami nieprzyjacielskimi. Pod tymi faszynami odpoczywają żołnierze rosyjscy. Na ich twarzach odbija się wielkie zmęczenie i zniechęcenie. Pobici i ścigani przez Japończyków nie mają ani chwili spokoju: W pełnej gotowości do boju, który ich nagle zaskoczyć może, siedzą spłoszeni, z karabinami w ręku, nie wiedząc, z której strony nagle wypadną nieprzyjaciele.

Stanęły i wozy, a konie tak chude, że na nich żebra policzyć można, prawie już do niczego nie zdolne. Zła i stęchła pasza podkopuje zarówno ich siły, jak spleśniałe suchary zdrowie żołnierzy. Na całej drodze zalegają całe bataliony siedzących i leżących żołnierzy, również w pogotowiu, z karabinami w ręku. Nieszczęsna wojna leży niestartem piętnem męki i tortury na biednym, niewinnym i nieszczęśliwym ludzie.

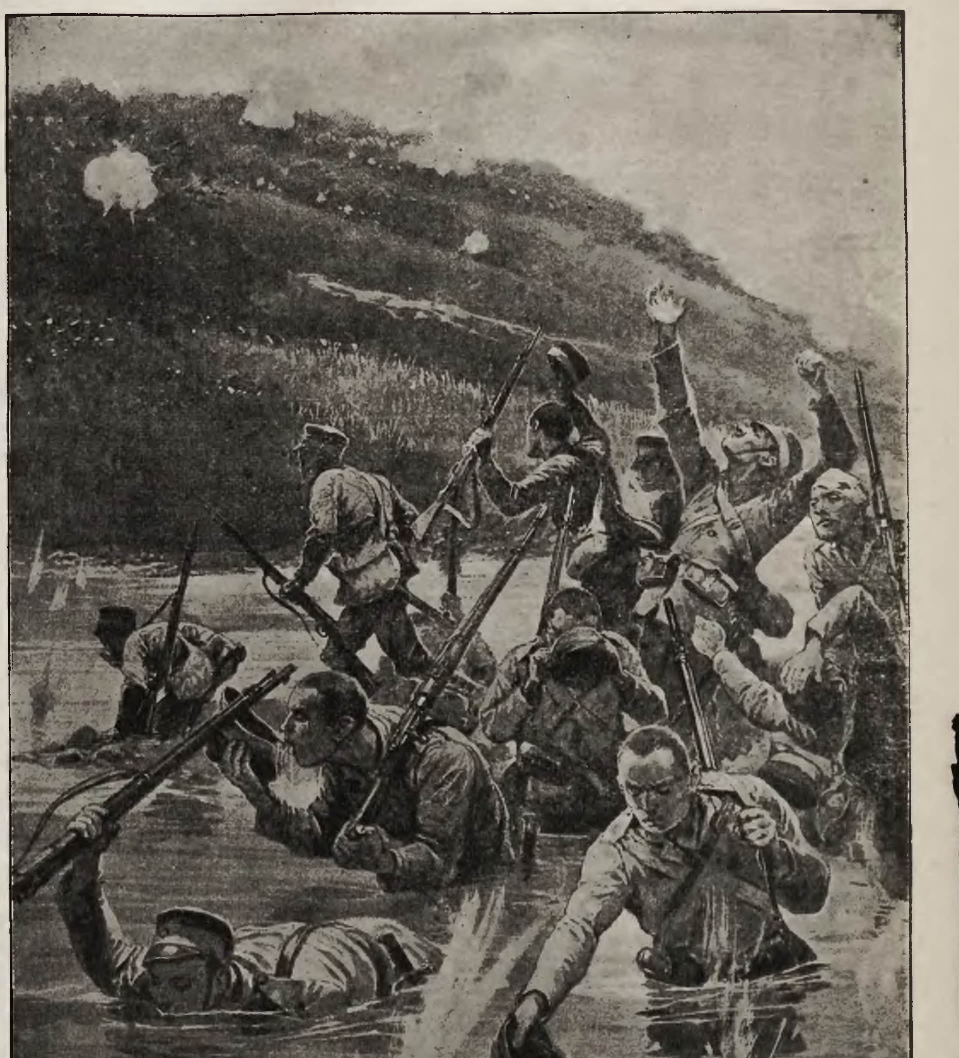
A z flanków dochodzą wieści o coraz to nowych atakach, które niespodzianie dziesiątkują odpoczywających żołnierzy.

Batalion strzelców syberyjskich spędza noc pod gołem niebem w wąwozach mandżurskich. Właśnie spożyto wieczerzę. Żołnierze rozpostarli na ziemi płaszcze i leżą wygodnie, gotując się do snu — to starszyzna.

W dali, poza nimi, również spoczywają prości żołnierze. Ale jeśli taki spoczynek dobry jest w lecie, w nocy pogodnej i podczas pokoju, to podczas wojny rzecz się ma inaczej, zwłaszcza, jeśli ta wojna wypada w zimie a nie jest zwycięska, jak właśnie wojna rosyjsko-japońska.

Bo jak dotąd zwycięstwo nie sprzyja zgoła Rosyanom. Od pierwszej klęski morskiej aż do wzięcia Portu Artura, ileż to razy padały na armie rosyjskie gromy z pod Czemulpo, Kinczu, Jantai, Szaho, Liaojangu! A każdy grom osłabił siłę moralną wojsk białego cara, której, możemy powiedzieć śmiało, i tak już mało miały w swej piersi. Bez zapału i energii, która w sercach Japończyków płonie, muszą Rosyanie jeszcze walczyć z brakiem umundurowania i klimatu. Straszna zima azyatycka daje się im też dobrze we znaki.

A choć tu i owdzie spotkamy się z obrazkiem, który nam pokazuje wesołe miny oficerów i wygodne ich zimowe leże, to z drugiej strony rozpaczliwe listy żołnierzy, które dostały się do nas kontrabandą, aż nadto w jaskrawem świetle przedstawiają grozę położenia prostego żołnierza. Zresztą i oficerowie są pożałowania godni. A prócz wojny samej, prócz kul nieprzyjacielskich i niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju muszą jeszcze tyle przykrości znosić od własnych żołnierzy.



Z wojny ros.-jap.: Kompania japońska przechodząc przez rzekę pije wodę czapkami wobec ognia rosyjskiego.

LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich.

przez

Grzegorza Smólskiego.

7 (Ciąg dalszy).

— Nu, to jak będzie?

— Trzeba kupić porządny frak gotowy u Kozowera, albo Lewandowskiego.

— Jak nie ma, to da Goldstückel... Goldstückel jak dojna krowa, wciąż daje. Ale temu dawaniu musi raz *bicz* koniec.

— Ja dla siebie nie potrzebuję iść do Luegera.

— Powiedziałem, że zapłacę, niech Kozower przyszle do mnie rachunek.

Po chwili dodał:

— Pan musi mu powiedzieć na rozum, żeby sobie pojechał do djabła, tu *nima* co *robicz*, Kołomyja miasto *żidowskie*. Ma pan jeszcze *dwadzieszcza* koron, ale tego paskidnika koniecznie trzeba *wiprawicz* do domu.

— Zrobię co będzie można.

Gdy Goldstückel wracał do domu przez rynek, mieszkanie Jojny było jeszcze oświetlone. Starsi kahału odbywali pewno naradę nad tem samem, co jemu ciążyło chwilowo najbardziej na sercu. Chętnie poszedłby do nich, lecz do tego brakło mu odwagi. Jojne rozsierdzony na niego, wyrzuciłby go za drzwi. Pozostał więc z myślami swoimi, które bezładnie snuły mu się po głowie.

U Jojny obradował istotnie cały „kul“, zasilony kilku gośćmi z poza swojego obrębu, zaproszonymi „do pomocy“. Miejscowy „Ruf“ Rothbarth przewodniczył. Jako, goście doradzcy zasiedli do stołu: dwaj kandydaci: Krikalis i dr. Tałkes, adwokat dr. Zipfel, dzierżawca pobliskiego Kobylicza Juda Kopelman, Dawid Maneles, Mojsze Bimstein i kilku innych jeszcze. Wobec wspólnego niebezpieczeństwa, zjednoczyły się wszystkie stronnictwa żydowskie.

Dr. Tałkes zaproponował, żeby się zjednoczyć także co do wyborów i postawić jednego wspólnego kandydata żydowskiego. Lecz kahał godził się na to tylko pod warunkiem, jeśli wspólnym kandydatem będzie rabin Floch, przeciwko czemu dr. Zipfel zastrzegł się stanowczo w imieniu swego „przyjaciela“ dr. Turteltauba, zaś Krikalis za nic w świecie nie chciał odstąpić od swej kandydatury, wobec czego dr. Tałkes cofnął wniosek, stawiając inny, mianowicie, że stronnictwa co do wyborów zachowają wolną rękę, a tworzą tylko ligę przeciw Luegerowi, mającą go zwalczyć siłami wspólnemi.

Obawiano się bardzo, by herszt wiedeńskich antysemitów nie zbuntował przedmieszczan, zrezygnowanych jako „wyborcy chrześciańscy“ przeciwko żydom.

Dr. Zipfel pocieszał zgromadzenie tem, że on nie umiejąc ani po polsku, ani po rusku, nie będzie się mógł porozumieć z przedmieszczanami.

Ktoś z obecnych zauważył, że można porozumieć się także na migi, inny zaś podniósł, że tacy krzykacze jak Namentowski, Sedlaczek, Brandmajer i Niesamowity mogą służyć w tym kierunku za pośredników-tłumaczów,

Dr. Zipfel przy nazwisku Niesamowity uśmiechnął się bardzo znacząco, co roztropny Juda Kopelman natychmiast zrozumiał, odzywając się wskutek asocyacyi myśli.

— Nu, to kupmy i tamtych trzech.

Jojne sprzeciwił się temu. Kahał wydał i tak ogromnie dużo na wybory. Sam nie byłby podołał, gdyby się nie był posiłkował wcale niepoślednio kasą miejską. Trzebaby znowu kilku setek, a kto wie, czy nie wyrzuconoby ich na darmo. Niema pewności, że krzykacze antysemiccy wziąwszy pieniądze, przecież potajemnie robiliby swoje. Przy tajnem głosowaniu kartkami nie może być żadnej kontroli. Dr. Zipfel wyrwszył z wnioskiem pośredniczącym, żeby przed zgromadzeniem luegerowskim spić wymienionych krzykaczy do niepoczytalności.

— Tego pan doktór nie dokaże – odzywa się Maneles.

— Czemu?

— Bo Namentowski, a także Brandmajer mają tak twarde głowy, że mogą pić trzy dni i trzy noce bez przestanku, a przytomności nie stracą.

Bimstein dodaje:

— Zrobiliby chyba tem większą burdę.

— Ja mimo to obstaję przy swoim wniosku — zakonkludował dr. Zipfel.

Krikalis mruczy sobie pod nosem.

— Jak się trafi głupi żyd, to już porządnie głupi.

Rabin jako przewodniczący musi zarządzić głosowanie nad wnioskiem, chociaż Jojne sprzeciwia się mówiąc:

— *Wozü tojgt üns sołche nebełyci.*

Za wnioskiem głosuje tylko sam wnioskodawca.

Kahalnicy byli niemało zaniepokojeni, że rebe Floch mimo pewnej zapowiedzi, nie przybył. On mógłby przeciwdziałać Luegerowi najskuteczniej. Wybór jego ma znaczenie walki przeciw antysemityzmowi. Coś musiało się stać nadzwyczajnego, że go dotychczas niema. Gdy starszyzna kahalna nadawała swej trosce wyrazu, odezwał się dr. Zipfel:

— Szanuję bardzo rebe Flocha, lecz wolałbym, żebe gdzie ugrzązł w drodze i wcale nie przyjechał. Mój przyjaciel dr. Turtel...

Nie mógł dokończyć, gdy kahalnicy oburzeni jego słowami wszczęli taki krzyk, iż mówić dalej nie mógł. Silberfisch i Prymchower robili nawet obstrukcyę, waląc pięściami o stół. Kopelman, przeciwko któremu dr. Zipfel wygrał niedawno proces dla jednego z swoich klientów, krzyknął:

— Frechheit!... za drzwi z takim żydem *tref!*...

Wybuchła ogromna kłótnia, że o mało co nie przyszło do bójki. „Ruf“ Rothbarth uśmierzył jednak burzę przypominając zgromadzonym, że to woda na młyn Luegera.

Obradowali więc dalej, jak należy prowadzić walkę przeciw dr. Luegerowi. Uchwalono, że stronnictwo Krikalisa, socyalni tałeśnicy mają pozostawać przez cały ciąg pobytu Luegera w Kołomyi w gotowości dla obrony żydów. Dalej postanowiono zaraz jutro przejść do ofenzywy. Lueger odwiedzi niezawodnie hr. Młodzieńskiego, jako kandydata antysemickiego. Pojedzie więc do Oleksiniec. Młodzież żydowska w sporej liczbie ma zająć strategiczne stanowisko przy gościńcu za mostem, gdzie droga do Oleksiniec skręca na lewo. Wszyscy mają się zaopatrzyć w łajna i obrzucać nimi jadącego *„grosse paskidnika“*. W razie, jeśli do południa miasta by nie opuścił, mają mu w hotelu wyprawić kocią muzykę.

VII.

Goldstückel nie spał całą noc, obmyślając plan kampanii przeciw Luegerowi. Wreszcie wpada mu szczęśliwa myśl do głowy. Zrobi Luegera nieszkodliwym. Uknuty plan wymagał koniecznie obecności dr. Turteltauba. Na szczęście ma on przybyć dziś do Kołomyi. Najprzód trzeba dostarczyć Luegerowi ubioru żydowskiego, żeby się mógł przebrać. Wybrał więc z swojego składu najwspanialsze rzeczy: bekeszę, spodek, stramel, jarmułkę, tates, tefilem, cices, białe pończochy i sziach, dokładnie podług miary; napisał dobrze solony rachunek, na którym wycisnął pieczęć swojego teścia i wszystko byłoby gotowe, gdyby nie pejsy, których fryzyer dostarczy dopiero za dwie godziny. Tymczasem przyjedzie dr. Turteltaub. Zanim dostarczy Luegerowi ubioru żydowskiego, będzie mógł z dr. Turteltaubem omówić plan kampanii i ułożyć wszystko. Nie długo miał przybyć pociąg ze Lwowa, więc siadł na wózek i udał się na dworzec kolejowy, by powitać przybywającego kandydata, któremu torował drogę do zwycięstwa.

Na dworcu czekała już powitalna gromadka zwolenników: Dr. Zipfel, notaryusz, optyk, Bałabuster, radca Szpikalski, redaktor „Makolągwy Huculskiej“, Mądrychowicz i baron Seydel, który stojąc ponad stronnictwami, lubo sam kandydat, wszędzie być musiał „dla zaznaczenia“ swej „bezstronności“. Aptekarz Szypułka miał na powitanie wygłosić prolog własnej muzy, lecz nie przybył na dworzec. Stało się to z przyczyny Maryi Kazimiery, jego małżonki, która po wizycie hrabiego, złożonej państwu aptekarstwu, przeszła onegdaj do „stronnictwa chrześciańskiego“, ciągnąc za sobą męża jak kometa ogon, mimo że słynął wzdłuż i szerz z wybitnie liberalnych zasad.

Goldstücklowi była bardzo nie na rękę deputacya powitalna. Miał pilnie do pomówienia z dr. Turteltaubem w cztery oczy. Od szybkiego działania zawisł cały plan kampanii przeciwluegerowskiej.

Tymczasem powitanie zabierało dużo czasu. Główny mowca, radca Szpikalski, wygłosił całą oracyę, po nim witał przybyłego baron Seydel, a dr. Zipfel, znany z rozwlekłości, stał w gotowości krasomowczej.

Periculum in mora. Więc Goldstückel szepnął kandydatowi do ucha, że musi z nim pilnie pomówić o bardzo ważnej rzeczy, poczem ten, jako człowiek przedewszystkiem praktyczny, dziękując wyszukanemi słowy za tak świetne przyjęcie „zasad“, których jest przedstawicielem, przeprosił „kochanego kolegę“ i „wszystkich łaskawych i czcigodnych panów, których stałość zasad postępowych jest rozrzewniającą“, że musi pomówić z Goldstücklem w nader ważnej sprawie nie cierpiącej zwłoki i z nim pojechać do miasta.

Oznajmienie to wywołało niemiłe wrażenie na obecnych, co uwidoczniło się na ich twarzach. Notaryusz przybył na dworzec swoim paradnym ekwiparzem w pewnej nadziei, że kandydat, siedząc po jego prawicy, odbędzie wraz z nim wjazd do miasta.

— Jeśli już nie będę miał honoru — rzekł z małym przekąsem — zawieźć czcigodnego kandydata swoim powozem do miasta — proszę zatem na jutro do siebie na obiad.

— Z przyjemnością będę służył – odparł dr. Turteltaub, poczem dodał:

— Będę miał szczęście i honor widywać się częściej z każdym z łaskawych panów. Zabawię tu dni kilka. Rozumie się, że spełnię swój obowiązek składając uszanowanie i wizytę znakomitym przewódcom obywatelstwa kołomyjskiego.

— Maks! — odezwał się dr. Zipfel — zgadnij kto do nas przyjechał w gości?

— Wiedzieliśmy już wczoraj — odparł dr. Turteltaub — dzienniki miały telegramy. Gazeta tutejsza pisała o tem już przed tygodniem.

— „Kukułka Pokucka“ — wtrąca redaktor Mądrychowicz. Sprawka to Niesamowitego. Na straży stoi jednak mężnie „Makolągwa Huculska“. Dzisiejszy artykuł wstępny na powitanie jaśnie wielmożnego pana kandydata, pochlebiam sobie...

— Bardzo pięknie dziękuję — przerwał mu dr. Turteltaub i nie dając mu skończyć pożegnał obecnych odjeżdżając fiakrem spiesznie z Goldstücklem.

Po drodze rozwijał Goldstückel swój plan przeciwko Luegerowi, opowiedziawszy o jego zamiarze przebrania się za żyda. Okoliczność ta daje rządowi podstawę do zajęcia się jego osobą. Przebieranie się, fałszywe pejsy uzasadniają podejrzenie, że się chce ukrywać. Może być zbrodniarzem, nawet bardzo niebezpiecznym. Kto on jest, starostwo może o tem nie wiedzieć. Wystarcza, że się przebiera, ukrywa, czego nie czyni bez ważnego powodu. Urząd musi rzecz zbadać dokładnie i w tym celu uwięzić podejrzaną osobę, inaczej ptaszek by uciekł. Dokładne śledztwo potrwa co najmniej tydzień, a tymczasem odbędą się wybory. Wprzódy jednak trzeba, żeby kandydat złożył swe uszanowanie, a to bezzwłocznie, małżonce pana komisarza starostwa, pani Silskiej i zapewnił sobie jej względy i poparcie. Ona trzęsie starostwem, nietylko za pośrednictwem męża, lecz także samego starosty, który bywa na *„jourach“* u państwa Silskich i nadto wieczorami, najczęściej gdy pan komisarz zabawia się przy „lampce“ wina u Korpacza z kwartalnikami. Panu staroście, jako bezżennemu nudzi się a pani komisarzowej także.

Dr. Turteltaub uznał plan Goldstückla za genialny. Kazał rzeczy swe odwieźć do hotelu, sam zaś, nie strzepawszy nawet kurzu podróżnego z siebie, udał się do pani komisarzowej, u której doznał przyjęcia dobrego. Ażeby sprawę zaostrzyć, dodał jeszcze, że słyszał we Lwowie o pewnym bardzo niebezpiecznym anarchiście, który objeżdża Galicyę w rozmaitych przebraniach z zamiarem wyzyskania rozdrażnienia wyborczego dla swoich celów. Ma on zamiar wzniecać pożary przez podkładanie bomb wybuchowych. Pani Silska, dama ożywiona najlepszemi chęciami służenia dobru publicznemu, udała się natychmiast do starostwa.

Goldstückel tymczasem podążył ze strojem żydowskim do hotelu angielskiego. Lueger oczekiwał go z wielką niecierpliwością.

— Przecie przyniosłeś raz! — zawołał.

— Fryzyer nie miał gotowych pejsów, musiał robić dopiero — odparł.

Obcy przeglądnął rzeczy przyniesione, próbował jedno po drugiem, wszystko było ściśle podług miary dobrane. Tylko z pejsami nie mógł sobie dać rady, nie mogąc ich umocnić na skroniach. Goldstückel radził, żeby je przyszyć wewnątrz do jarmułki, która kryła mu głowę aż po uszy. Goldstückel, mając igłę i nitkę przy sobie, uskutecznił to szybko. Wszystko zatem było w porządku. Tylko rachunek wydał się obcemu za wysoki. Zaczął się targować, odparł, że to nie jego rzecz, lecz kupca, który zrobił już najniższe ceny. Jeżeli jednak wydają mu się za wielkie, może zwrócić towar.

Z kwaśną miną zapłacił rachunek, gdy do drzwi pokoju silnie zapukano i równocześnie prawie otworzyły się drzwi, w których ukazał się komisarz Silski w mundurze urzędowym w towarzystwie dwóch żandarmów z najeżonymi bagnetami.

C. d. n.



Stanisław Knake-Zawadzki.

Migawki teatralne.

Jeżeli możemy wyobrazić sobie prawdziwy typ szlachetnej męskiej urody — w połączeniu z wyniosłą postawą, dźwięcznym donośnym głosem — to zawsze na myśl nam przychodzi Stanisław Knake-Zawadzki. Jest to bezsprzecznie jeden z najpierwszych aktorów polskich obecnej doby. Niedoceniony i zapoznany, pędzi obecnie tułaczy żywot dyrektora na prowincyi. Kto go jednak bodaj raz widział w niezrównanych jego kreacyach Szekspira, w Ibsenie — ten musi z żalem przyjść do przekonania, że prawdziwe talenta, istotne zasługi — u nas zazwyczaj się marnują.

„*Nemo propieta in patria sua*“!... Gdyby tak Zawadzki był się urodził niemcem, francuzem, anglikiem — sławą jego brzmiałaby cała Europa — będąc Polakiem nie doszedł nawet do tego, by po latach całych scenicznej pracy — mieć spokojny, a zasłużony kawałek chleba, w stałym teatrze.

Stanisław Knake-Zawadzki należy do starej gwardyi. Ukończył szkołę dramatyczną w Warszawie i wstąpił w r. 1880 na scenę krakowską za dyrekcyi St. Koźmiana. Bawił potem w Poznaniu, a po 4 latach objął kierownictwo teatru w Lublinie, skąd za dyrekcyi Barącza wraca do Lwowa. Wreszcie w r. 1893 zaangażował się do Krakowa.

Zawadzki poza tem, że jest znakomitym aktorem, ma niespożytą obywatelską zasługę. Jego to usilnym zabiegom i niezmordowanej pracy zawdzięczać należy powstanie instytucyi ludowego teatru w Krakowie.

Ciężkie były początki. — Dzielny dyrektor zorganizował częścią z własnej licznej rodziny, częścią z amatorów — niezłą trupę. Pod wytrawnem jego kierownictwem wchodził teatr ludowy na coraz lepsze tory. Niestety trudności materyalne pokonały tego człowieka inicyatywy i czynu — zdawszy więc stworzoną i ukochaną przez siebie instytucyę w obce ręce — sam wyjechał do Królestwa.

Obecnie jest Knake-Zawadzki dyrektorem teatru w Częstochowie.

Może, gdy zmienią się fatalne stosunki, panujące w krakowskim teatrze — wróci do Krakowa tak wybitny artysta, któremu p. Kotarbińska nie dała możności, ani pola do spożytkowania niezwykłych zdolności.

* * *

Weteranka sceny i sztuki na polu opery i operetki — i to jedna z tych naszych weteranek, które nigdy nie myślą o kapitulacyi, lecz zawsze wstępnym bojem zdobywają sobie sławę, wieńce i oklaski.

I praca i lata nie pozostawiły na niej śladu. Ząb czasu, ten nieubłagany wróg kobiecej piękności, zaokrąglił jej kształty, ale nie pozbawił jej urody i tego wdzięku, jakim zawsze otaczała się na scenie. A talent jej sceniczny i głos, pozostały również świeże — głos i talent, dzięki którym przez tyle lat była ozdobą sceny skarbkowskiego teatru we Lwowie i dzięki którym dziś w nowym gmachu teatralnym, do dawnych swoich tryumfów dodaje nowe.

Kasprowiczowa dobrze pamięta czasy dawnej sławnej operetki lwowskiej z tego okresu, kiedy teatr trząsł się od oklasków na sam widok najlepszego z komików operetki polskiej Skalskiego, kiedy Boczkaj, Bandrowski i Floryański czarowali publiczność swymi głosami.

Występowała na scenie ze starym niezapomnianym „dziadziem“ Kuncewiczem, a jej kreacyi Halki, Lwów nigdy nie zapomnie.

Takich Kasprowiczowa miała kolegów i takie koleżanki. W takim otoczeniu talent, jaki posiadała, musiał rozwinąć się wspaniale.

Wrodzona muzykalność, czysty dźwięczny głos o metalicznem, srebrzystem brzmieniu, wyszkolony znakomicie, oraz sumienność w opracowaniu każdej partycyi — to są zalety tej artystki, jako śpiewaczki.

Niezrównany humor i temperament na scenie, umiejętność wżycia się w każdą kreacyę, subtelność w każdym ruchu i wyraźna dykcya — to są przymioty jej, jako aktorki.

Hojnie wyposażona od natury, niezmordowaną pracą zdobyła resztę tego, czego każdej artystce potrzeba, aby zostać wielką.

Dlatego też zdobyła sobie pierwszorzędne stanowisko, dlatego została ulubienicą całej publiczności. Dlatego kocha ją zarówno Lwów, jak i Kraków, który nieraz gościł ją w swych murach i miał dość sposobności poznać jej talent dokładnie.

Nie myślę się bawić w superlatywy, pisząc o tej atystce, gdyż superlatywy, to rzecz zbędna, a przytem banalna i pewnie jej samej byłyby one nieprzyjemne, gdyż pochwał nie lubi i ze względu na swą skromność, z jaką unika reklam i wzmianek, mogłaby być wzorem dla młodszych swych koleżanek.

Śmiało jednak powiedzieć można, że scena polska — a względnie opera i operetka, nie prędko znajdą tak wybitną siłę, jak Kasprowiczowa.



Amelia Kasprowicz.

Z TYGODNIA

Gdy świat wstrząsają nowiny z za morza
Jak znak przestrogi, niby kara Boża,
Gdy na moskalu drży kacapska skóra
Kiedy przypomnie los Portu Artura,
Kiedy pod knutem satrapy tyrana
Drży cała Rosya jak podminowana,
Gdy nawet w Austryi gabinet się wali
I tym porządkiem idzie wszystko dalej
U nas zmian niema, jeżeli się doda,
Że się zmieniła li tylko pogoda:
Ohydna odwilż nad nami się znęca,
A z nią tyfusy, febry, influenca,
Dla biednych klęska, ale także tracą
Ci, co nie troszczą się biedą ni pracą,
Dla których życie jest jedną zabawką,
Ci się pożegnać muszą ze ślizgawką,
Ale natomiast (kaprys aury szybki)
Strzedz swych katarów, przeziębień i chrypki,
Opływa błotem dziś każda ulica,
Nudno — lecz jedno dość urozmaica,
Bo w innym guście nowości jest nawał:
Na wycieńczenie kona już karnawał
Chociaż w żywota swego nie wszedł środek,
Choć to najmłodszy w roku noworodek.

Jednak senzacyi mamy w mieście ogrom:
Wymienię tylko niepamiętny pogrom,
Jaki z teatrem ludowym w zapasach
Pan Kotarbiński odniósł w naszych czasach.
Ubiegł go mały teatrzyk ludowy
Gdzie Rydel mówił podniosłemi słowy
W „polskiem Betlejem“... Cóż jest za przyczyna,
Że tam się z sztuką przenosić zaczyna
Taki Wyspiański, Rydel i Tetmajer?
Czemu? bo każdy z nich przecie nie frajer,
I nie powierzy uczuć swoich przędzy
Nie wzniosłej Muzie, ale raczej Jędzy,
Co rozpostarta w teatru przybytku
Szuka w nim tylko własnego pożytku!...
Bieda i bieda — to jedyne godło,
Które cechuje naszą erę podłą,
Goły jest książe, zarówno jak hrabia,
Goły szewc, który nic dziś nie zarabia,
Goły pan radca, goły dyurnista
Goły aptekarz — goły droguista
Goły (gdy kłamię, to mi kłamstwo wykaż)
I ten, co pisze te słowa kronikarz,
Goły lud cały, gorszej od szarańczy,
Więc nic dziwnego, że dziś nikt nie tańczy,
Lecz wśród zastoju nieużytej dobie
Myśli czem gębę mógłby zapchać sobie.
O! są zapewne szczęśliwi i syci,
Których się troska o życie nie chwyci,
Ci, co posiedli synekury złote,
Wpływ mają duży, a małą robotę.
Co byt w próżniactwie pędzą bez ustanku
Karyerowicze z kolei lub banku.
Lecz trzeba przyznać ku mniejszej ich chwale,
Że często kończą zawód — w kryminale.
A więc następcom Müllerów i Zimy
Takiej karyery nie pozazdrościmy,
Bo lepiej zawsze w uczciwym zakresie
Nie żądać więcej, jak co — życie niesie!

Kącik humorystyczny.

W sądzie.

Sędzia (do świadka): A teraz, stanu wolnego czy też żonaty?...

Świadek milczy.

Sędzia: No proszę, stanu wolnego, czy żonaty?

Świadek milczy.

Sędzia (do protokolanta): Pisz pan: żonaty!...

Na zgromadzeniu przedwyborczem.

— Panie Mojżesz — pyta krakowski ulicznik jakiegoś żyda z zapuchniętą twarzą — co ci tak spuchł gramofon? Wziąłeś w gębę, co?...

— Dyabła tam wziąłem — odpowiada zapytany — sami mi dali!...

Na ulicy.

Ślepy dziad: Cooo? pan mi dajesz tylko pół centa?!

Przechodzeń: Więc ty przyjacielu widzisz, a mówiłeś, że jesteś od urodzenia ślepy!

Ślepy dziad: Cooo? za pańskiego marnego pół centa mam jeszcze może być i ślepy?!

Dżentelman.

Sędzia: Co cię skłoniło do ukradzenia tego ubrania?

Oskarżony: Prześwietny trybunale, jedynie wzgląd na tę okoliczność, żebym się mógł dziś przed wysokim trybunałem przyzwoicie zaprezentować!...

Na kredyt.

— No, jakże ci tam poszło przy wczorajszym ferbelku? Wygrałeś, co?

— Ale! Wyobraź sobie przegrałem trzydzieści guldenów, a co najgorsze, że z tego aż dwa gotówką!...

Maurycy Wolfsthal.



Skrzypek, jeden z tych niewielu artystów, znamienitych w swoim zawodzie, którzy mogąc znaleźć i chleb i uznanie i ciepło konieczne dla każdej artystycznej duszy — mogąc to mieć gdzieindziej w obfitej mierze i jakości — przywiązani do swego zakątka rodzinnego, zaczerpnąwszy wiedzy w metropoliach świata i u mistrzów — woleli powrócić do swoich i ofiarować nabytą wiedzę, pracę i talent swojemu społeczeństwu.

Maurycy Wolfsthal (ur. 1856 w Tyśmienicy) czerpał pierwsze wiadomości swej sztuki w domu rodzicielskim, a Wolfsthalowie to z muzykalności znana zaszczytnie rodzina w całej Galicyi wschodniej. Z pośród rodzeństwa całego. Maurycy odznaczał się tak wybitną muzykalnością, iż rodzina nie zawahała się przeznaczyć go na muzyka i wysłać do konserwatoryum wiedeńskiego, które po kilkuletniej nauce kończy jako laureat w 1875. Aby dopełnić studyów i piękne rezultaty nauki pogłębić i wzmocnić, pracuje Wolfsthal dalej pod kierownictwem słynnego naówczas nauczyciela gry skrzypcowej i pedagoga Donta. Wykształcenia wirtuozowskiego Wolfsthala dokonał mistrz nad mistrze... Joachim. Po krótkiem tournée koncertowem, przyjmuje Wolfsthal stanowisko profesora gry skrzypcowej w konserwatoryum lwowskiem, na którym to posterunku pracuje wytrwale aż po dzień dzisieiszy.

A posterunek to nie tylko trudny, lecz i ważny dla kultury muzycznej w kraju.

Że z zadań swych wywiązuje się czcigodny profesor z pożytkiem, świadczy olbrzymi zastęp wybornych i wybitnych skrzypków i umuzykalnionych dyletantów, rozsypanych po całej Galicyi — a że z pracy swej wywiązuje się z chlubą, świadczy poważny szereg artystów, którzy u niego pobierali naukę i których on umyzykalnił i uduchownił. Z długiego pocztu tychże, dość wymienić artystów tej miary co: Theodorowicz. Posselt, Stein, i wielu innych.

Nie tyle żądza sławy — bo wybitny ten artysta jest typem skromności — ile stosunki muzyczne, zmusiły Wolfsthala oderwać się chwilowo od ulubionej pracy pedagogicznej—i wyciągnąć w pole... po laury. Wyjeżdża więc od czasu do czasu na objazdy koncertowe i wraca w domowe pielesze, witany radośnie przez przyjaciół, uczniów, wielbicieli i rodzinę, z pełną teką recenzyj, oddających mu jako wybornemu skrzypkowi zasłużone pochwały — i z pełną sakiewką złota.

Dłuższą taką podróż odbywał w r. 1893, koncertując z wielkiem powodzeniem w Wiedniu (dwukrotnie), Warszawie, Krakowie, Wilnie i w całej Polsce

Obecnie cieszy się tryumfami syna swego Maksa, pianisty, wielkie nadzieje rokującego ucznia Leszetyckiego — a przedewszystkiem córeczki swej Emmy, która wyszczególniona przez krytykę berlińską, koncertuje obecnie z wielkiem powodzeniem w Niemczech.

Ministerstwo, powołując do życia komisyę egzaminacyjną dla muzyki, pod przewodnictwem dyr. M. Sołtysa, nie mogło znaleść na odpowiedzialne stanowisko członka tej komisyi lepiej kwalifikującej się osobistości, jak prof. Wolfsthala.

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

3 (Ciąg dalszy)

W tej chwili muskularne ramiona objęły silnym uściskiem piękną kibić Hani i Jasiek wycisnął na jej koralowych usteczkach gorący pocałunek miłości.

— Oj! jestem już jestem dziewczyno ty moja! — szeptał jej do ucha parobczak, wpatrując się z miłością w czarne, jak tarenki oczy Hani — i chyba teraz nie gniewasz się już na mnie kochanie!?...

— Pewnikiem, że nie! — zaśmiała się wesoło dziewczyna obejmując szyję ukochanego i tuląc jego opaloną twarz do swych piersi — ino nie gadaj mi, coś robił i co będziesz robił! Stanie nam chyba na to dość czasu, ale lepiej powiadaj mi, jak ty mnie kochasz i jacy my kiedyś będziemy szczęśliwi! Toż cię trzy dni nie widziałam już Jaśku ty mój najzłotszy, toż trzy dni nie słyszałam głosu twojego, ani też nie zakosztowałam pocałunków twoich i cniło mi się do ciebie, niby tej duszyczce do nieba!...

Pogórny z dumą i zadowoleniem spoglądał rozmiłowanemi oczyma na niby to gniewną, ale wesołą i śmiejącą się twarz dziewczyny.

— Hanuś moja! już ty chyba sama wiesz i czujesz, jak ja cię kocham, jakaś ty mi droga i jak czekam tej chwili, w której ksiądz proboszcz małżeńską przysięgę od nas odbierze! Bez ciebie Hanuś, nie żyć mi na tym świecie, bez ciebie nie oddychać mi tem powietrzem! Niech dwór mi dadzą jasny. murowany i karetę i cugi, niech cała wioska mi się kłania, ale niech mi ciebie zabiorą, to plunę na ten dwór murowany i na to państwo i bosy przybiegnę do ciebie, a spytam się: „Hanko ty moja ukochana, czy śmierć mi piszesz, czy pójdziesz ze mną na dolę i niedolę“?!...

Dziewczynie oczy zaświeciły się jak u wilka.

— Hej chłopcze złoty! nie rzuciłaby cię twoja Hanka nigdy! nigdy nie rzuciła, a lepszej tobyś nie znalazł, ani wierniejszej! Gadałyby ci inne dziewuchy: porzuć to życie, pilnuj lepiej dworskich owiec i baranów, miast gonić po lesie, a ja ci tego nie gadam i nie powiem, bo ja dumną jeno z tego być mogę, że mam kochanka, co jest najodważniejszy między naszymi kłusownikami, co więcej od życia, więcej od wolności kocha...

— Swoją Hanuś i jej czarne oczy! — dokończył Pogórny, tuląc dziewczynę do siebie w serdecznym uścisku.

I chwilę trwali tak oboje, pijąc słodycz z ust swoich, aż nareszcie Hania wyrwała się z objęć Jaśka.

— Dosyć Jasieńku, dosyć najdroższy! siadajże ty sobie teraz na ławie i spocznij trochę, a ja się zakrzątnę tymczasem koło wieczerzy, bo tatula tylko co nie widać, a ja nic-em jeszcze nie narządziła. Tatuś przyjdą głodny i będą się gniewać na mnie całkiem słusznie, a i ty pewnie zechcesz powieczerzać z nami?...

Pogórny usiadł na dębowej ławie i podczas gdy Hania krzątała się przy dużym kominie, ustawiając garnki na ogniu, począł jej opowiadać o zastrzeleniu rogacza i podejściu leśniczego, który miał go już prawie w rękach, został tak dowcipnie wyprowadzony w pole przez starego Marcina.

Hania, usłyszawszy, że ojciej jej całą uwagę leśniczego skierował w stronę Wujka z Płońska, roześmiała się wesoło.

— A co Jaśku! Widzisz, że i tatulo nie od parady noszą głowę na karku! Ale ci mu w czas tego Wujka wymyślili! I ty przez ten cały czas leżałeś sobie między pastuchami? No, no! widzisz chłopie, że masz szczęście, co się zowie!...

Tymczasem wieczerza była już gotowa i zmierzch zapadł zupełny. Hanka podeszła do okna.

— Dziw, że tatulo nie przychodzą! — rzekła — przecież już zagnali chyba trzodę do obory i musi być po doju!...

Pogórny podniósł się z ławy i stanąwszy poza plecami dziewczyny, spojrzał na drogę, prowadzącą koło chaty. W tej chwili twarz jego poczerwieniała od gniewu i w oczach zapaliły mu się ognie niepohamowanej nienawiści.

— Patrz Hanko — syknął ze złością — patrz! O! tam od obory idzie Marcin, ale nie sam! Wlecze się za nim jak ćma, jak ten pył za wozem, jaśnie wielmożny pan pełnomocnik, ten łotr z pod ciemnej gwiazdy, co snuje się dniem i nocą koło waszej chaty! Słuchaj Haniu! Powiedz ty mi, ale otwarcie, jak na spowiedzi świętej, czego ten gałgan chce od ciebie!...

Hanka uśmiechnęła się obojętnie.

— A no! chciałby gwałtem, żebym poszła do niego za gospodynię, bo jego żona już rok, jak z łóżka nie wstaje!...

— Gospodynię?! — krzyknął z wściekłością Pogórny – już my wiemy co to znaczą takie gospodynie! Na poniewierkę by chciał wziąć ciebie do domu, na wstyd i na hańbę, a to niedoczekanie jego!...

— Ba! przysięgał mi nawet, że jak mu żona pomrze, tak mnie do ołtarza poprowadzi!...

— I ty słuchałaś tego dziewczyno? Nie bałaś się pomyśleć, że śmierć przedtem musi wykosić miejsce dla ciebie!

— Nie wściekaj się Jaśku po próżnicy, bo ino szkoda tego, że krew psujesz sobie! Wiem, że ja chłopka, a to pan, co i tatula może kawałka chleba pozbawić. Gada — niech-ta gada! Jednem uchem słucham, a drugiem wypuszczam. Niech gada, kiedy mu to przyjemność robi, ja słuchać mogę, bo mnie przez to nic nie ubędzie, ale daleko jeszcze do tego, żebym była jego gospodynią, daleko do tego, żebym go miała pokochać, bo ja już ciebie kocham mój Jaśku i za nikogobym cię nie wymieniała!...

— Niech będzie jako chcesz, ale to ci powiem, że nikt inny, jak tylko Marcin winien temu, że się ten Giorczak tak tu w waszej chacie rozsiada! Marcin nie chce mu pokazać, kędy są drzwi w tej chacie, ale ja się nie myślę wielmożnością jasnego pana krępować. Porwę za kark i jak nim strzelę w drzwi, to się chyba gdzieś w rowie oprze!...

— Jaśku! dajno ty spokój z takiem gadaniem! — nasrożyła się dziewczyna — wiesz, że Giorczak co chce to i zrobi; wypędzą i ciebie ze służby i tatula, a co wtedy będziemy robić?

— Co mi tam! — zawołał parobczak – wypędzą, to wypędzą! Nie jeden to dwór i nie jedna służba na świecie. Kto zdrów, a chce pracować. temu ani dachu nad głową nie zabraknie, ani kawałka chleba. A niech go teraz tylko Marcin tu przyprowadzi, tak zaraz rozprawimy się obaj. Rzemieniem mu ja tę miłość wybiję z głowy!...

— Jaśku! — krzyknęła przerażona dziewczyna — dajże spokój i nie wyprawiaj takich breweryj, bo się jeszcze do kryminału dostaniesz!...

Dziewczyna spojrzała w okienko z przestrachem i po chwili odetchnęła pełną piersią.

— No! chwała Bogu! Pełnomocnik poszedł do domu i jeno tatulo sami tu idą. Ej Jaśku, Jaśku! jak ty możesz być taki gorący!...

Pogórny z gniewem usunął się na ławę, i w tej chwili skrzypnęły drzwi chaty, a w progu zarysowała się wysoka postać starego Marcina:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli oboje młodzi.

— Siadajcie tatulu — odezwała się Hania, ścierając fartuszkiem ławę — wieczerza już dawno gotowa.

Marcin zawiesił sukmanę na kołku, zatarł ręce i siadł przy Pogórnym, a Hania w tej chwili podała im strawę w glinianych miskach.

Przez chwilę świetlicę zalegała cisza, przerywana jeno łakomem siorbaniem jedzących.

Nie trwało to jednak długo, bo stary Marcin prędko załatwił się z jedzeniem i otarłszy usta rękawem od koszuli, zapalił fajkę, a puściwszy kilka kłębów dymu, odezwał się do Pogórnego:

— Słuchajno Jaśku! Pan Giorczak ogromnie się gniewa na ciebie, że zamiast pilnować trzody, wałęsasz się po lesie. Wprawdzie mu powiedziałem, że cię zimnica tłucze i że ja zastąpiłem ciebie w zupełności, ale on temu wierzyć nie chce. Mówi, że jak nie porzucisz kłusownictwa, to cię jeszcze przed Nowym Rokiem wypędzi ze służby.

Młody parobczak spojrzał ponuro na mówiącego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CIĘŻKI KRZYŻ.

Krawiec Nagulski był to sobie mały, chudy człowieczyna, wiecznie narzekający na swoją biedę. Miał sąsiadem starego inwalidę z roku 1866, kalekę bez prawej ręki, który jednakże na podstawie patentu pobierał skromną dożywotnią pensyjkę i był właścicielem małej trafiki tytoniu, gdzie siedział z żoną.

Zazdrościł mu krawiec.

— Popatrzcie się! — mówił do swoich. — To szczęśliwy chłop! Brak mu wprawdzie jednej ręki, ale on się przyzwyczaił do tego i nic mu to nie szkodzi, a chleb spokojny ma do śmierci!... Ja mam obie ręce, a za to muszę ciężko od rana do nocy pracować igłą, chcąc utrzymać rodzinę.

Najgorzej bywał usposobionym, gdy mu przyszło płacić czynsz za mieszkanie. Ciężko mu było wyłożyć tych osiemnaście guldenów na raz!... Właśnie co wchodził do gospodarza domu, notaryusza Michalewicza – gdy we drzwiach spotkał inwalidę.

— Ot, szczęśliwy człowiek! – zawołał wszedłszy do pokoju. Temu łatwo czynsz zapłacić, bo ma pensyę i trafikę.

— Zapominasz pan, że stracił rękę na wojnie, odrzekł notaryusz.

— Wielka rzecz! zapłacili mu za to dobrze.

— Mówisz pan, jakbyś mu zazdrościł... A przecież to przykro być kaleką.

— A cóż to za przykrość? Jabym sobie zaraz dał uciąć rękę, żeby mi dali pensyę do śmierci.

— Najmniejsze kalectwo jest ciężkim krzyżem, trudnym do zniesienia.

— Jużbym ja go tam niósł, ten krzyż, gdyby on dał mi spokojne życie z pensyą.

— No... dobrze! — rzekł po krótkiej chwili notaryusz. Ja panu dam darmo mieszkanie, to jest tyle, ile ma ten inwalida dochodu – ale będziesz pan nosił krzyż, który panu przeznaczę. Będzie on nawet bardzo lekki.

— Jakiż to? — spytał Nagulski.

Notaryusz wziął w rękę kredę.

— Oto narysuję panu na plecach surduta krzyż. Jak długo będziesz go pan nosił niezmazanym, tak długo nie potrzebujesz płacić czynszu wcale.

Krawiec roześmiał się na całe gardło.

— Jeżeli nic ponad to — to przyjmuję.

— Zobaczymy! — odrzekł notaryusz z uśmiechem — a Nagulski zadowolony z ośmnastu guldenów niezapłaconego czynszu w kieszeni, wrócił do domu i siadł do roboty.

Naraz dwaj jego terminatorzy wybuchnęli śmiechem.

— Co wam tak śmiesznego przyszło? — rzekł majster zły — siedźcie lepiej cicho i szyjcie.

— Oj... ha, ha, ha! panie majster... kiedy bo panu majstrowi ktoś na plecach... ha, ha ha!

Słysząc to, odwróciła się od kuchni stara Nagulska.

— Gdzieżeś ty się obielił kredą?... Oczyść się!... Co to jest? Panie odpuść grzechy... wszakże to krzyż wyraźny! Pewnie byłeś na gorzałce, a tam twoi kumpanowie zakpili sobie z ciebie. Fe! stary, żonaty i poważny człowiek, dać ze siebie robić takiego błazna!

— Ej... drobnostka! Daj temu pokój i idź do swojej roboty! — odburknął majster żonie.

— Ładna drobnostka! Toż wyglądasz jak cielę znaczone na targ.. Pójdź, niedołęgo, niech cię oczyszczę szczotką.

— Odejdź odemnie! — skoczył Nagulski — zakazuję ci dotykać mnie!

— Cóżeś to, rozum stracił? czyś pijany?

— Cóż ci do tego, że mnie się podoba chodzić tak naznaczonym?

— Jakto, co mi do tego? Od tego ja jestem żona i nie pozwolę, żebyś mi robił wstyd!... Ściągaj natychmiast surdut, niech ci go wyszczotkuję!

— Nic nie ściągam!

— A ja ci powiadam, zdejm surdut! – i chwyciła go całą pięścią za rękaw.

— Odejdź, stara piekielnico, pókim dobry! – huknął wściekły małżonek, odtrąciwszy ją od siebie, bo nie chciał przecie przy terminatorach tłumaczyć się, co znaczy ten krzyż na jego grzbiecie.

Porwał za czapkę i wyleciał na ulice.

Prawie każdy z przechodniów odwracał się za nim, a kupiec korzenny, stary znajomy z Floryańskiej zawołał w głos:

— Panie Nagulski! wejdź pan do mnie na chwilkę, żebym cię oczyścił! Masz jakiś biały krzyż na plecach!

— Pilnuj pan swoich pleców! — odmruknął Nagulski i pognał dalej co siły.

— Panie Nagulski! panie Nagulski!

Jakiś kobiecy, miły głosik... majster przystanął.

— Czego tam? — zapytał i ujrzał znajomą sąsiadeczkę, córkę kancelisty ze sądu.

— Masz pan krzyż z tyłu, panie Nagulski! Że też to są tacy złośliwi ludzie na świecie!

— Niechno panna uważa na swój tył, a mnie da spokój! — warknął krawiec i pognał.

— Grubjanin! osioł jakiś! – pisnęła za nim panienka i wzruszyła ramionami.

Nagulski przechodził koło rzeźnika. Pies rzeźnika zaczął szczekać na niego.

— Kurz! psiawiaro! — wrzasnął majster.

Rzeźnik odwołał psa.

— Pójdź tu, Rozbój, do nogi!... Sa tu! Ale co to u dyabła macie na plecach, panie Nagulski?

— Mam to, co mi się podoba, a nikomu nic do tego.

Poleciał dalej. Studenci wyszli ze szkoły – krzyk się zrobił na Małym Rynku.

— Ty! popatrz się! ten ci ma krzyż na plecach jak osioł!

— I-a!... i-a! – zaczęły żaki udawać osła na całe gardło.

— Wy nie wiecie, co to jest! — powiada jakiś starszy gimnazyalista. Ten pan, to jest Krzyżak, wraca z wyprawy do Palestyny!

— Nieprawda! — zawołał drugi. — Ten pan wraca z Portu Artura, gdzie był jenerałem od Czerwonego Krzyża.

Nagulski zaciął zęby. Przyspieszył kroku i wpadł do kawiarenki, gdzie bywał codziennie na dominie.

Jacyś młodzieńcy grający w bilard spostrzegli jego krzyż.

— Coś niezwykłego!... – zauważył jeden. – Dotąd ludzie zasłużeni nosili krzyże na piersiach... a ten jegomość na tyle!..

– Ha! ha! ha! – zahuczało.

– Dajcie pokój – mitygował któryś — to pewnie kawaler maltański!...

Nowy ryk!... Nagulski zerwał się od kawy.

— Przestaniecie wy raz?... – wrzasnął na młodziaków.

— Przestań pan być śmiesznym — odpowiedział najstarszy — to i my przestaniemy się śmiać.

— Smarkacze! paupry!

— Osioł stary! małpa!

Byłoby przyszło do kułaków — wpadł gospodarz.

— Przyczyną całej awantury jest wielki krzyż — rzekł do Nagulskiego — który panu na plecach wymalował jakiś psotnik... Pozwól pan, ja to panu otrzepię natychmiast.

— Idź pan do dyabła! nie potrzebuję! — rzucił się jak ukąszony krawiec.

— Cóż pan mnie do dyabła wysyłasz? idź pan do wszystkich czartów! ja mu chcę wyświadczyć przysługę, a ten kozioł klnie!...

— Niech was licho porwie! — rzucił dziesięć halerzy za czarną i wyleciał.

Ale po wszystkich ulicach wołali za nim andrusy:

— Krzyżak! Hej, hej! Krzyżak! Prusak!

Nagulski wpadł do domu jak obłąkany.

— Słyszałam, że się z ciebie śmieje cały Kraków! — przywitała go żona. — Gdybym była wiedziała, nie byłabym poszła za błazna!...

— Szkoda, żeś nie wiedziała!

— Co?... a ty jeszcze ciągle masz ten krzyż na surducie? — Zdejmuj ubranie!

— Ani mi się śni!

— A ja ci mówię, że zdejmiesz! — i znów go uchwyciła za połę.

Buchnął ją pięścią między oczy.

— O rany boskie! O Jezu miły! ludzie! ten łajdak bije żonę! okrwawił mnie! gwaaałtu!

— Wyleciała na ulicę. Chciał ją zatrzymać — naprożno! Uciekła do siostry, zapowiedziawszy skargę o seperacyę.

Nagulski pozostał sam i zaczął rozważać. Poszturkiwali go, wyśmiewali, zrobili z niego błazna. Pożarł się z dobrym przyjacielem kawiarzem, żona go porzuciła...

— A bodaj to licho wzięło!...

Zdjął surdut, porwał za szczotkę, wytarł krzyż do niepoznaki.

— Dobrze powiedział notaryusz — rzekł — i taki mały krzyżyk ciężko nosić człowiekowi!...

. . . .

Poszedł na górę i — zapłacił czynsz.

Pablo.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarada.

Wspak *pierwsza:* nazwisko polskiego pisarza;
(Autor powieści: „Głowy do pozłoty“)
Drugie i *trzecie* – co się często zdarza –
Bywają fałszywe.. choć to nie są koty.
Całość – to imię, właściwe kobiecie,
Które z pewnością wszyscy odgadniecie.

Logogryf

ułożony przez Rysię P.

Z sylab: a, al, bryk, bü, ce, chów, cze, czew, e, hei, hol, i, im, ka, ka, kie, ko, küb, low, ło, łusz, mie, mu, na, ne, pi, ro, ska, to, tol, ty, tek, u, ueks, zar – ułożyć 13 wyrazów, w których pierwsze od początku litery, czytane z góry na dół, i ostatnie w odwrotnym kierunku, utworzyłyby imię i nazwisko komedyopisarza polskiego i tytuł jednej z lepszych jego komedyi.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w gub. kieleckiej. 2. Nazwisko męża stanu japońskiego. 3. Cesarz rzymski. 4. Poeta niemiecki. 5 Związek organiczny. 6. Współczesna poetka polska. 7. Współczesny dyplomata niemiecki. 8. Nauka. 9. Przydomek króla polskiego. 10. Miasto w Turcyi. 11. Przysłówek. 12. Siedziba bogów w Rzymie. 13. Sprzęt do herbaty.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„Humoreski“ Stasiaka.

Rozwiązania z Nru 1.

Rebus: Rodzice kochają swe dzieci zawsze i dzieci rodziców też czasem.

[illegible]: Opłatek – [illegible].

Kryptogryf: Wincenty Pol.

Logogryf: Krüger, Stein, Joubert, Cronje, Dewet, Delarey, Burger, Botha, Kruitzinger, Sch[illegible].

Zadanie konikowe:

W życia wędrówce, na połowie czasu,
Obrawszy błędne manowców koleje,
Pośród ciemnego znalazłem się lasu.
O, jakże ciężko wysłowić tę knieję,
Te puszcz pustynnych zaciernione dzicze,
Których wspomnieniem pamięć mi truchleje.

Dobre rozwiązanie napesłali pp.: Borger, Giorczak, Mazański, Staszecki, Stiasniewicz, Suchorzański, Pol, Więckiewicz, Stanisławski i Reiss.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Suchorzański w Krakowie. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.